

Jurij Andruchowycz

ERZ-HERZ-PERC

Eseje



Stanisławów
Stanislaw

Karta historyczna i terenowa

Bynek

Rynek

swiat
literacki

Jurij Andruchowycz
ERZ-HERZ-PERC

Jurij Andruchowycz
ERZ-HERZ-PERC
Eseje

przełożyli
Ola Hnatiuk
Przemysław Tomanek

TYRSA **świat**
literacki
Warszawa - Izabelin 1996

© Copyright by Jurij Andruchowycz 1996

© Copyright for the Polish translation by Ola Hnatiuk
and Przemysław Tomanek

© Copyright for the Polish edition by Świat Literacki,
Izabelin 1996

ISBN 83-86646-27-6

*Książka ukazała się dzięki
finansowej pomocy
Ministerstwa Kultury
i Sztuki*

*Wydawcy składają podziękowania
Panu Ihorowi Panczyszynowi
za udostępnienie zdjęć*

*Opracowanie graficzne: Studio Deseń
Skład: Tyrsa
Druk: Koldruk*

ŚWIAT LITERACKI
skr. poczt. 67
05-080 Izabelin

Tyrsa sp. z o.o.
ul. Kościeliska 7
03-614 Warszawa

Printed in Poland

Erz-herz-perc

(O problemie jedności i wyjątkowości)

I

Zwykle z przekazów rodzinnych zachowują się te tylko, które wyglądają najmniej prawdopodobnie.

Moja babcia, Irena Skoczdoł, jako dwunastoletnia dziewczynka widziała arcyksięcia Ferdynanda w kabrioecie. Księcia odprowadzała eskorta kawalerzystów oraz ciekawskie spojrzenia licznych mieszkańców Stanisławowa, którzy stali po obu stronach ulicy Karpińskiego, inaczej Karpinskigasse, zaś następca tronu wraz z małżonką i kilkorgiem potomków na tylnym siedzeniu własnego, powiedzmy, „lorraine-dietricha” odjeżdżał w kierunku dworca kolejowego, skąd wieczornym ekspresem miał wyruszyć do Czerniowiec. Zresztą, dlaczego akurat do Czerniowiec? Kiedy dziś w wolnej chwili oglądamy wyblakłą mapę cesarsko-królewskich połączeń kolejowych, dochodzimy do wniosku, że droga na Czerniowce wcale nie była najkrótsza. Domyślam się, że arcyksiążę wraz z rodziną podążył innym szlakiem – w pobliżu roponośnych złóż oraz siarkowodorowych wód leczniczych i, mijając nasiąknięte deszczami gąszcze Czarnego Lasu, na Stryj, Morszyn, Hrebenów, dalej zaś prosto na południe, by z nastaniem zmroku zanurzyć się w przedwieczny nocny szum Gorganów, a następnego ranka wynurzyć się już na terytorium Alföldu – Wielkiej Niziny Węgierskiej, gdzie już czekały nań Obuda, Peszt i Buda

z niezliczonymi winiarniami, pikantnymi potrawami oraz ognistą muzyką. Życie trwało. Końcowym etapem podróży było Sarajewo.

Ale wróćmy do dwunastoletniej babci, wychowawicy siostr bazylianek, córki zrutenizowanego Niemca sudectkiego (byli też tacy), która nade wszystko lubiła fotoplastikon, haftowanie krzyżykami i czytanie podręcznika do astronomii w popularnym zarysie Camille'a Flammariona. Wrażenie, które wywarł na niej ujrzenie z okien werandy Erzherzog czy też arcyksiężę, zwykle można było oddać kilkoma zaledwie pociągnięciami. Lipcowe późne popołudnie, piąta, niedawny deszcz zbił kurzawę dookoła, odświeżył rośliny i kamienie. Obydwa chodniki wzdłuż ulicy wypełnione miejską społecznością, która wita członków rodziny monarchy wymachiwaniem chusteczkami i flagami. Wypucowane do błysku hełmy kawalerzystów, konie też lśnią, dobrze odkarmione, prawie tresowane. Ręka Ferdynanda leniwie oparta na drzwiach kabrioletu, od czasu do czasu budzi się, by odpowiedzieć machnięciem. Arcyksiężna w ogromnym wiedeńskim kapeluszu „Jugendstil”, twarz schowana za woalką, ale przebłyskuje macierzyński uśmiech. Recz dziwna – babcia, która wówczas sama była dzieckiem, nie zapamiętała niczego, co dotyczyłoby dzieci Ferdynanda. Czasem opowiadała coś niejasno o marynarskim ubranku jednego z nich, ale było to już, jak mi się zdaje, wpływem owego fotoplastikonu czy też późniejszym – kina...

Resztę domalowuję sam. Najważniejszy w mojej konstrukcji jest leciutki powiew wieczornego wietrzyku, lekko unoszący anioły, nadający wszystkiemu jakiś nietrwały, nieco rozchwiany wygląd; wszystko powiewa

i trzepece na wietrze – pióropusze dragonów, pióra żandarmów, włosie na buławach, ogony i grzywy, czupryny na gołych głowach chrześcijan i pejsy Żydów, ręczniki wyszywane krzyżykami i nawet jedna niebiesko-żółta wstążka, a także ogromna ilość innych wstążek i, jako się rzekło, flag i chusteczek. Do atrakcji dopuszczono wszystkich chętnych; nawet pani kapitanowa, znana w całym mieście z fiksacji na punkcie higieny, która na każdym kroku, stale i publicznie prała swe niezliczone fatałaszki, nawet stary Olijnyk, który od stu lat naprawiał parasolki, popijając piwo, nawet profesor gimnazjum Dutka, znający dziewiętnaście języków, – wszyscy oni biorą udział w tej przedwieczornej idylli, pod niewidzialnymi skrzydłami imperium.

I żadnego anarchisty, żadnej próby zamachu, samoofiarne go rzucania bomb czy strzelaniny, żadnej tajnej organizacji, żadnego spisku – porządek świata wydaje się nienaruszalny, stały i niczym niezachwiany, imperium – wieczne, a terrorysta Siczyński już od kilku lat mieszka gdzieś w Ameryce – tam, gdzie powinni mieszkać wszyscy na świecie terroryści i zbrodniacy.

Ówczesni fotografowie, jak się wydaje, nie pozostawili świadectw, które mogłyby skorygować lub potwierdzić przedstawiony przeze mnie obraz. Wizyta i następnie wyjazd Ferdynanda pozostaje więc epizodem – bez żadnej pouczającej treści czy choćby anekdotycznej efektowności. Pozostaje jedynie nastrój, przelotne wrażenie, impresja, posmak – a są to rzeczy na tyle subiektywne, że trudno na nich budować ważne światopoglądowe uogólnienia.

Zwróćmy się więc ku rzeczom bardziej obiektywnym.

Stosunek galicyjskich Ukraińców do starej Monarchii Dunajskiej nie był ani wrogi, ani też idylliczny. Raczej ironiczny. Ta ironia zaczynała się już na poziomie cesarskich portretów w ukraińskich salonach (oczywiście ozdobionych tradycyjnymi wyszywanymi ręcznikami, podobnie jak wiszący obok portret Szewczenki), a kończyła na całkiem bezsensownym i dzięki temu bezpiecznym moskwofilstwie.

Ze wszystkich elementów nieuniknionego przyszłego wybuchu, którym wręcz naszpikowane były podówczas Austro-Węgry przez rozczłonkowanie i wewnętrzne sprzeczności, otóż ze wszystkich tych elementów, ukraiński był najmniej wybuchowy. Nie oznacza to, że był on całkowicie niezapalny – przykład wspomnianego już studenta Siczynskiego, który dość zdecydowanie i bez wielkich rozterek Raskolnikowa skończył z namiestnikiem Galicji, hrabią Potockim, przy okazji czyniąc sierotami dziewięcioro dzieci tego ostatniego, mimo wszystko świadczy o tym, że „i nas nie palcem zrobiono”. Ogólnie rzecz biorąc jednak i ta historia kryminalna nosiła nie tyle antyaustriacki, ile antypolski charakter (kolejny epizod odwiecznego i wyczerpującego obie strony ukraińskopolskiego „oko za oko, ząb za ząb”).

Apologia nieboszczki Austrii („babuni Austrii”, jak żartowali ci sami ironiczni mieszkańcy Galicji) dla mnie zaczyna się od stwierdzenia, że właśnie dzięki nieskończonej języko-narodowej różnorodności tego świata przetrwała jego ukraińska część składowa. Stało się to, być może, i wbrew jej woli, jednakże nie byłoby nas dzisiaj,

gdyby nie ona. Ludzkość byłaby o jedną kulturę i jeden charakter narodowy uboższa. Myślę, że choćby tylko za to najjaśniejszy Prohazka, cesarz Franz Josef I, zasługiwałby na Nagrodę Nobla w dziedzinie noosfery, gdyby nagrodę tę przyznawano pośmiertnie i w ogóle przyznawano.

Po drugie, w języku zachowanym dzięki temu najbardziej lekkomyślnemu spośród imperiów przetrwał dialekt, którego jedną z najbardziej charakterystycznych cech jest dziwaczny i smakowity zarazem zestaw wyraźnych germanizmów, zaczynając od takich jak: „fana”, „fertyk”, „frysztyk”, „farfocli”, a kończąc na sakramentalnym „szlak by joho trafyw”. No i co ja, ukraiński pisarz, zrobiłbym dzisiaj bez tych germanizmów?

Po trzecie, właśnie dzięki niej, tej świętej pamięci babci, udało się pogodzić i połączyć wiele rzeczy wcześniej nie do pogodzenia i nie do połączenia. Przez rozczłonkowanie i wymieszanie kultur, poprzez swój biologiczny i historyczny związek ze wszystkim, co tylko na świecie istnieje, imperium było prawdziwym „cyrkiem anomalii”, objazdową kolekcją okazów i straszydeł. Imperium musiało wybrać wolność i pluralizm, dać schronienie praktycznie wszystkim – od chasydów do starowierów, od tajemniczych Karaimów do całkiem zwyczajnych Cyganów z Maramoru; chyba jako pierwsze zaprzestało prześladować z powodów rasowych, narodowych czy też religijnych.

Po czwarte, Austria zachowała dla nas architekturę – jakże inną, zachowała inne miasta, dała im prawo do przetrwania, wskutek czego uparcie nie chcą niszczyć, mimo wszelkich po temu warunków. Dzięki temu mój Stanisławów mimo wszystko (chwalić Boga!) różni się od

Dniepropietrowska, Krzywego Rogu czy Zaporozża, które z kolei niczym się między sobą nie różnią.

Po piąte wreszcie, odkryło przed nami nowe perspektywy geograficzne, nauczyło patrzeć na Zachód i lubować się jego delikatnym zmięchem. Pomyśleć tylko, że były czasy, kiedy moje miasto należało do jednolitej struktury państwowej nie z Tambowem i Taszkientem, a z Wenecją i Wiedniem! Toskania i Lombardia znajdowały się w tych samych granicach, co Galicja i Siedmiogród. Na początku stulecia nie potrzebowałbym wizy po to, by spotkać się z Reinerem Marią Rilke albo, powiedzmy, z Gustawem Klimtem, a po to, by wysiąść z pociągu w Krakowie, Pradze, Salzburgu czy Trieście wystarczyło nabyć bilet na odpowiedni pociąg. Wszystkich, którzy mają co do tego wątpliwości, zachęcam do spojrzenia na wspomnianą już przeze mnie mapę połączeń cesarsko-królewskich kolei.

Oto pięć podstawowych, według mnie, tez w obronie naszej austro-węgierskiej historii. W rzeczywistości tych tez może być znacznie więcej, i same tezy mogą być też inne – będę się cieszyć, jeżeli ktoś je skoryguje lub uzupełni. Czy też zaprzeczy.

3

Jedna ze starych galicyjskich anegdot (anegdot w tym sensie, w którym Irwanec używa Puszkiniowskiego „dni minionych anegdoty”) opowiada o tym, jak do austriackiego wojska przybyli rekruci z Galicji. Naukę żołnierskiego fachu rozpoczęto od wbijania im do głów imion i tytułów wyższego dowództwa. Wygadany kapral uświadamiał ruteno-rekrutom, że komendantem ich regimentu

jest arcyksiężę rycerz toskański, po niemiecku „Erzherzog Ritter von Toskana”. Potem zaś zażądał, aby powtórzył to chłop wielki jak niedźwiedź, rodem skądś spod Żabiego czy Prokurawy. Ten bez mrugnięcia okiem wypalił: *Erz-herz-perc, ripa z motuzkami* (Erz-herz-perc, rzepa ze sznurkami)!

Nie chciałbym wdawać się w szczegóły i opowiadać o tym, że w huculskim dialekcie wspomniana „rzepa” oznacza nawet nie rzepę, lecz coś zupełnie innego, mianowicie kartofle. Nie zamierzam ponadto analizować, o ile wzrosła gotowość bojowa austriackiego wojska po przeprowadzonym przez kaprała szkoleniu. Chciałbym jednak niektóre rzeczy uogólnić: w owym „erz-herz-perc”, jak w magicznym zaklęciu, skoncentrowało się mnóstwo różnych rzeczy: jest tu i wspomniana już ironia, i charakterystyczna ukraińska rustykalna „ludowość”, chłopska przebiegłość w stosunku do obcego i obcojęzycznego, i żartobliwe nieposłuszeństwo, ot, takie „szwejkowstwo”. Dla mnie jednak to także diagnoza naszej nabytej ułomności, fatalnego dreptania w miejscu – na progu Europy oraz niezdolności do tego, by pójść dalej, wejść do Europy. To proroctwo, w którym zawarta jest karykatura i parodia wszystkiego tego, czego dokonujemy w sztuce, polityce, gospodarce. Wszechogarniające „erz-herz-perc”, i tyle.

Można to uznać za skutek rozciągniętego w czasie dzieciństwa. Albo starczego marazmu. Albo kolonialnej przeszłości. „Ukraina musi dopiero zamieszkać w swoich miastach”, – napisałem w 1991 roku, sądząc wtedy, że cel ten jest w zasięgu ręki. Dziś zapatruję się na to znacznie bardziej pesymistycznie, przy czym mam ogromne wąt-

liwości, czy dzieci moich dzieci będą mieszkańcami ukraińskich miast.

4

Stanisławów leży w pobliżu Tyśmienicy. Trzecie miasto w Galicji, położone w międzyrzeczu Złotej i Czarnej Bystrzycy, to znaczy w „Mezopotamii”. Śródmieście wraz z przyległymi ulicami o przeważnie jednopiętrowej zabudowie, promenady, kasyno i sklepy z towarami kolonialnymi, kawiarnie z kolumbijską kawą, cukiernie z marcepanem i biszkoptami. Świątynie: greckokatolicka katedra, rzymskokatolicka fara, ormiański kościół, luterański zbór, synagoga z czterema kopułami w stylu mauretańskim. Figury Najświętszej Marii Panny i świętego Jana Chrzciciela wzniesiono dla uczczenia wycofania się Rosjan w 1742 r. Figura Chrystusa Zbawiciela, postawiona na pamiątkę wielkiej dżumy w 1730 r. Pomnik z brązu cesarza Franza I. Biblioteka miejska z ponad ośmioma tysiącami dzieł historycznych. Hotele: „Union”, „Central”, „Europa”, „Habsburg”, „Imperial”. Parterowe wille, klomby. Najmilsza z ulic to Lindengasse, albo Lipowa, prowadząca do miejskiego parku imienia imperatorowej Elżbiety.

Nie wymyśliłem tego. Dane te pochodzą z kieszonkowego przewodnika, kupionego przed blisko stu laty na dworcu kolejowym. Są one skąpe, ale też bardzo wyraziste. Dają pełnię obrazu.

Miasto jak to miasto. Gdzieś na granicy „miasta” i „miasteczka”. Bohaterowie Josepha Rotha zatrzymywa-

li się w nich w drodze do Nowego Jorku, by przelecieć kolejną pokojówkę.

Dziś prawie nie istnieje. Trzyma się tego „prawie”, demonstrując wspomniany przeze mnie cud wytrzymałości i trwałości. Dlatego wciąż jeszcze mamy szczeliny w murach, zawalone dachy, drzewa, wyrastające z klatek schodowych, resztki witraży i marmurowych płyt pod nogami.

Nasza apokalipsa zaczęła się nie tak znowu dawno – we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, kiedy w pozostawionych na pastwę wszelkich wiatrów „pańskich” mieszkaniach zamieszkali inni ludzie, przybysze z dalekich równin, zamieszkałych przez olbrzymy z ośmioma palcami, gdzie wódkę pije się jak wodę, a nawet zamiast niej, gdzie jada się surowe mięso, a tańczące niedźwiedzie występują w świątyniach...

Najłatwiej było po prostu zamieszkać. Wedrzeć się do secesyjnych willi, do luksusowych, porządných konstruktywistycznych kamienic, do parterowych eklektycznych domów. Najłatwiej było zagarnąć meble, porcelanę, garderoby w orzechu wraz ze szlafrokami i pantoflami, gramofony i płyty, zegarki, niezrozumiałe książki z nienagannymi zakładkami z cieniutkiej bibułki papierosowej, obrazy olejne i gipsowe posąжки, jednym słowem, całą tę kulturę, cały ten mieszczański kram, do którego przybysze zwykli odnosić się z pogardą, lekceważąc formę jako taką. Tyle że z jakiegoś powodu swą pogardę przejawiali poprzez przywłaszczenie.

Przybysze nie wzięli jednak pod uwagę, że zagarnięcie domów wiąże się również z pewnymi zobowiązaniami w stosunku do nich. Że te mury, drzwi i salony wymagają

stałej troski. Że kur i innych zagadkowych stworzeń nie warto trzymać w wannie. Że nieznanne rośliny w sadach i na gankach wymagają troskliwej ręki ogrodnika, że drzewa trzeba okopywać, trawę strzyc, a kwiaty w doniczkach podlewać. Że do teatru nie należy wybierać się w nocnej koszuli – nawet gdyby wydawała się straszliwie elegancka...

Nie wzięli pod uwagę jeszcze jednej rzeczy. Po to, by stać się pełnoprawną częścią tego środowiska, trzeba było wnieść coś do niego: na przykład własny folklor, albo dać poetów, filozofów, lub choćby mędrców, ulicznych dziwaków, czy astrologów. Ich zaś stać było jedynie na lumpy.

Ta całkowita nieprzystawalność doprowadziła nie tylko do zniszczenia budynków. Miasto wywożono na wschód całymi pociągami. Dodajmy do tego faszystowską okupację, której skutkiem było całkowite „oczyszczenie” miasta z jednego z najważniejszych elementów etnicznych – żydowskiego. Na miejsce wysublimowanych i artystycznych, głęboko marzycielskich melancholijnych wyznawców chasydyzmu po wojnie przybyło mnóstwo zwykłych zsovietyzowanych „Jewrejów” – rosyjskojęzycznych już, zuniformizowanych, którzy wstydzili się swego pochodzenia.

Dodam jeszcze jeden element, najmniej „patriotyczny”. Pod koniec lat pięćdziesiątych Ukraińcy z okolicznych wiosek zaczęli przenosić się do ówczesnych podmiejskich, bezdusznych osiedli, w których stopniowo wyrodniali, zachowując z wiejskiej kultury to, co najgorsze, tracąc zaś wszystko to, co najbardziej wartościowe. Tę najnowszą falę podbijania miasta dopiero ostatnio, jak się

wydaje, nieco powstrzymały obecne warunki życia – życie w mieście stało się drogie i beznadziejne. Z drugiej strony to oni właśnie, wiejscy zdobywcy, przyczynili się do powstania zasadniczo nowej sytuacji językowej. Umyślnie nie mówię tu, czy to dobrze, czy też źle, choć powinienem powiedzieć, że dobrze. Ale zbyt wielu umarłych spoczywa pod nami.

Bo skoro tak postąpiono z domami, to łatwo sobie wyobrazić, co wyprawiano ze świątyniami i cmentarzami. Dewastowano zarówno rodzinne grobowce, jak i anonimowe zbiorowe mogiły. Starsi pamiętają jeszcze, jak pod koniec lat czterdziestych z podziemi kościoła farnego wynoszono zabalsamowanego hrabiego Potockiego w ciemnowiśniowym kontuszu i wyszywanej złotem magierce z piórem. Mumię, podobnie jak całą górę kosztowności, należących do kościoła, załadowano na ciężarówki i wywieziono w nieznanym kierunku.

To, co stało się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, nie da się porównać nawet z takim kataklizmem, jakim był słynny „marmoladowy pożar” w 1868 roku, kiedy to przez nieuwagę gospodyni, która gdzieś w okolicach podwórzy u wlotu ulicy Stefana Batorego smażyła na wolnym ogniu marmoladę, prawie całe miasto spłonęło.

Dziś także prawie nie istnieje. A mimo wszystko istnieje.

Mój przyjaciel z Polski, ciekawy poeta młodego pokolenia, wysłał mi niezłe pismo artystyczne, w którym umieścił przekład wiersza *Zapomnienie* z cyklu *Lipcowe*

szkice podróżnego. Kiedy przeczytałem przekład do końca, zrozumiałem, dlaczego wybrał właśnie ten wiersz. Przytoczę go tu w całości, mając nadzieję, że nie zostanie to uznane za próżność. A więc:

*Tak, niby brama – to wejście.
Są miasta, do których nie można
wejść przez bramę.
Są miasta, do których nie można
wejść.*

*Przynoszą więc ogromny klucz, szukają miejsca,
w które można go wetknąć, ale
nie ma bram, straż obróciła się
w proch. Siedem wiatrów w rozkoszy żyje
na placach i w salach.*

*Zewsząd otwarte przedmieścia, straż
wyrasta zielona i prężna.*

*„Zamarstynów, Kulparków, Kleparów”, –
prawie na głos wyliczasz,
ale za nic nie przypomnisz sobie, jak nazywa się
drzewo,
pod które ona już nie przychodzi.*

Polski przekład zachował wszystko, oprócz ostatniego wersu. Zapewne czysto intymny i bardzo konkretny motyw erotyczny (miałem na myśli nie tylko to, że jako chłopiec rzeczywiście przychodziłem we Lwowie pod pewne drzewo, gdzie spotykałem się z pewną panną) – otóż ten osobisty motyw wydał się niedostateczny

mojemu tłumaczowi, à propos, pochodzącemu z rodziny dawnych lwowiaków, to znaczy lwowskich Polaków, wysiedlonych do Polski po II wojnie światowej. Oto jak wygląda ostatnia strofa tego wiersza:

*„Zamarstynów, Kulparków, Kleparów...” –
wyliczasz coraz głośniej,
w żaden sposób nie pamiętając,
jak nazywa się drzewo,
z którego wyrastają...*

Panna z mojej młodości precz uleciała. Nie zostało po niej nawet wspomnienie, w zamian powstało coś innego, bardziej ważkiego i cięższego: indywidualna pamięć, a dokładniej, niepamięć przekształciła się w pamięć historyczną, pozwolę sobie nawet powiedzieć, że w obrazoną pamięć historyczną. Dla mojego przyjaciela bowiem Zamarstynów, Kulparków, Kleparów (podobnie jak Majorówka i Lewandówka) – to gałęzie lwowskich przedmieść, które bezsprzecznie wyrastają z pewnego historycznego drzewa o mile brzmiącej łacińskiej nazwie „Semper fidelis”.

Jestem świadom tego, że nie stoją za tym w żadnym razie polskie pretensje terytorialne. Chyba że w sensie jakiegoś terytorium poetyckiego. Ale jestem głęboko wdzięczny mojemu przyjacielowi, gdyż jeszcze raz pokazał, że poezja może być szansą w tym kruchym świecie.

O dzisiejszym Lwowie i Stanisławowie (jak też o Stryju, Drohobyczu czy Buczaczu) rzeczywiście można pisać jako o ruinie, królestwie śmierci, zapomnienia i wszechwładnego Chama. Ale można pisać również o czymś innym: o życiu, o codziennym powstrzymywaniu znisz-

czenia, o miłości pod oblażłymi tynkami domów i wyblakłymi freskami, o hucznych zabawach i nocnych przygodach w załomach starych murów fortecy, o echu dawnych słów, usłyszanych już i rozpoznanych: „erz-herz-perc”. I nie jestem temu winny, że taką właśnie – żywą – poezję o Lwowie czy Stanisławowie pisze się dziś po ukraińsku.

Kultura jest niepodzielna – nie pierwszy to mówię i zapewne nie ostatni. Ekstrawagancki pisarz młodopolski, Przybyszewski, na początku stulecia w jednej z krakowskich winiarni ukląkł na kolana przed Wasylem Stefanykiem i pocałował jego stopę. Pozostawmy na marginesie tego epizodu niemłą ilość wypitego trunku, jest ona istotna, ale nie jest istotą. Przypatrzmy się raczej samemu gestowi – artystycznemu i ludzkiemu jednocześnie. Takie połączenie nieczęsto się udaje.

Możliwe, że tu, w tej „strefie buforowej”, w tym zniszczonym korytarzu pomiędzy Zachodnią i Wschodnią Europą, będzie nam się to udawać coraz częściej?

przełożyła Ola Hnatiuk

Carpatologia cosmophilica

(Próba fikcyjnego krajoznawstwa)

Choć trudno w to uwierzyć, uczeni twierdzą, że Karpaty w odległej przeszłości były dnem morskim. W górach można napotkać szczątki morskich stworzonek: liliowców, muszle mięczaków i in.

(Z podręcznika przyrody dla szkoły podstawowej)

I

Musze, liliowce, perłopławy, a ponadto wąs wieloryba, polipy, na pół spróchniałe szkielety ryb, skamieniałe kręgi i płetwy, szczęki nie opisanych przez naukę wodnych potworów oraz, rzecz jasna, porośnięte trawą i ptasimi gniazdami kadłuby zaginionych statków (żebra, maszty, czasem zaś jedynie zbutwiałe liny i żagle) – wszystkie te naoczne dowody morskiej przeszłości Karpat towarzyszą każdemu, kto odważy się wyruszyć na wędrówkę pasmem Czornohory wzdłuż granicy rumuńskiej, pozostawiając za sobą znany z tytoniu i niejadalnych winogron wilgotny paradise Południowego Pokucia i Północnej Bukowiny, a przed sobą – jedynie starą austriacką drogę wojskową i łańcuch kuszących śnieżnych szczytów, których nazwy wraz z nazwami pobliskich połonin i uroczysk wywołują nieskończone szeregi lingwistycznych i akustycznych skojarzeń: Draho-brat, Pip Iwan, Pietros, Turkuł, Dan-

cerz, Gadzyna, Rebra, Munczel, Szpyci, Rozszybenyk, Howerla...

Przemieszczając się po dnie tego nieistniejącego morza, orientując się w terenie wyłącznie po konturach gór, porzuconych okopach i rozsypanych w trawie łuskach z karabinów maszynowych, szóstego dnia (inne wersje mówią o sześciu godzinach) podróży można zbliżyć się wreszcie do szczątków największego z porzuconych statków. Należy przy tym trzymać się z dala od martwych wód jeziora o żeńskim imieniu Mariczajka, na brzegach którego wszystkim bez wyjątku wędrowcom śnią się koszmary o tak niejasnej i przygnębiającej symbolice, że jedyną prawdopodobną hipotezą jest potężne mentalno-energetyczne zawirowanie, czaso-przestrzenny węzeł, astralna otchłań, czarna dziura. Miejscowi wyjaśniają zaś ten fenomen tym, że w okolicach jeziora snują się, nie znajdując nigdzie schronienia, senne zwidy topielicy Marii (Mariczajki). Każdy, kto odważyłby się zanocować nad nieruchomą, czarną taflą jeziora, skazuje się na współudział w tych bezdomnych refleksjach. Dalibóg, nie każdemu przybyszowi udawało się szczęśliwie powrócić z wędrowki: niektórzy pozostali t a m, na dnie rozbudzonych i zbuntowanych archetypów.

Nie będziemy się więc zatrzymywać w tym niepewnym miejscu – powędrujemy dalej przez coraz bardziej alpejskie krajobrazy do, jak już zapowiedziano, najwspanialszego z umarłych okrętów. Wynurza się przed nami niczym forteca nad fortalami, ucieleśniona fikcja, powiedzmy, Dino Buzzati; jego mury i wieże pozostawiają wrażenie innego świata, niemal innej planety, tu, opodal uroczyska z na poły rumuńską (tracką?) nazwą Dziembronia.

To szczególny relikwiarz architektury międzywojennej, ułamek tego mitycznego lwowsko-warszawsko-wiedeńsko-paryskiego wektora, o którym dzisiaj krążą jedynie słuchy i domysły. Jest to budowla i struktura: mieszkanie, pracownia, akademia, biblioteka, sale konferencyjne, balowe i gimnastyczne, salon, basen, maszynownia, restauracja, elektrownia, kotłownia, amfilada ładowni, a ponadto podziemia i niezliczona ilość innych tajemniczych pomieszczeń za stale zamkniętymi drzwiami, to arka, to kompleks. To kompleks Europy, tu, w najdalszym jej zakątku, na granicy z Nieuropą, w samym centrum Europy.

To dawne o b s e r w a t o r i u m, czyli miejsce obserwacji, kontemplacji i skupienia, miejsce podpatrywania – może aniołów, a może i komet. Dziś w jej murach można schować się przed przelotnymi górskimi deszczami. Trwałej woni ekskrementów i starych szmat nie wywietrzy nawet szesnaście przeciągów z połoniny, wiecznie hulających w tych murach ze względu na dziury i szpary – zarówno w metafizycznym sensie, jak i dosłownym. Wędrowcy rozpalają ogniska bezpośrednio w salach i korytarzach. Resztki parkietu znakomicie nadają się na rozpałkę – tutejsi ludzie dawno już przyswoili tę prowokacyjną prawdę i dlatego nie ma mowy już o parkiecie jako takim, i nie o jasnoorzechowej boazerii, pokrywającej ściany, i nie o półkach z ciemnego buka w bibliotece, a właśnie o „resztkach”. Co się stało z teleskopami i wszelakimi innymi nieznanymi mi przyrządami astrofizycznymi, trudno powiedzieć. Wątpliwe, by Polska zdążyła ewakuować je we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Możliwe, że potem, za Moskwy, przetranspor-

towano je gdzieś na Kaukaz, Tien-Szań albo Pamir. Rosja nie potrzebowała bowiem karpackich obserwatoriów, będąc panem losu znacznie wyższych szczytów i nawet zuchwale nadając im swe romantyczno-górnolotne nazwy, jak na przykład Pik Komunizmu.

Zresztą Rosja jest daleko i w ogóle prawie jej nie ma, tak jak nie ma dziś kanału Ostankino w naszych odbiornikach.

Są natomiast planetnicy, ten osobliwy rodzaj magów i wieszczów, podłączonych do każdego z kosmicznych zjawisk miriadami niewidzialnych i bolesnych prądów. Czy to nie oni stworzyli to pole, tę pustkę, tę dźwięczącą echem próżnię? Czy to nie ich wysiłki stworzyły tę zakazaną strefę, tę ruinę, ten szmer wiatru w nocnych korytarzach obserwatorium: „tu nie wolno”?

Po tyśiąckroć miał rację ten poeta, który po raz pierwszy lekkomyślnie rymował „Kosmacz” z „kosmo-sem”.

2

Bukowina, Pokucie, Huculszczyzna i Maramor, Ciskarpatia, a dalej i Transkarpatia, i Transylwania, i Dolina Cisu i Dunaju – wszystko to tereny w ten czy inny sposób przylegające do struktury Karpat Wschodnich. Taras Prochaśko, mój znajomy pisarz-biozof (w obecnej fizycznej postaci znany w mieście barman), niezwykle trafnie nazwał ją „mityczną strukturą, nie poddającą się dalszej destrukcji”. Dalej na zachód – sprecyzuję kierunek jego spojrzenia, zapewne nieco wyidealizowanego.

Ta struktura, mimo jej pozornego umiejscowienia w swego rodzaju geograficznym centrum, zawsze była krańcem, skrajem, obrzeżem imperium, obrzeżem kultur i cywilizacji. Rzymskie monety, wciąż jeszcze znajduwane w gockich mogiłach przy drążeniu tuneli i układaniu gazociągów, bite za czasów Trajana i później, dają podstawy lepiej wykształconym miejscowym mieszkańcom stwierdzać przy wódce, że ich przodkowie byli obywatelami jednego z rzymskich imperiów (choć niekoniecznie Świętego). Właśnie tu, wzdłuż linii Karpat przebiegała granica między światem łacińskim i bizantyjskim, co przejawiało się w rozgraniczeniu obrządku wschodniego i zachodniego. A osmańskie czaszki, wyciągane każdej wiosny z zaoranej ziemi na polach pod Chocimiem, przypominają nie tylko o nieznośnej doczesności bytu, ale i o niesłychanie tanich różnościach sprzedawanych na dzisiejszym bazarze w Czerniowcach, tak szczelnie wypełnionego wszelakim tureckim kramem, że żaden Philippe de Méziér ani Hamalija nie dorównaliby mu nigdy ogromem zdobytych trofeów (...kupowaliśmy koszulę za mniej niż jednego dinara, a trzydzieści koszul za jedno su bez marki! – to Audon z Deille (XI w.) zachwyca się wspomnieniami o konstantynopolskim shoppingu uczestników krucjaty).

Jak widzimy, nie tylko Dunajska i Newska monarchia miała swój udział w podziale, zagwarantowanym przez tę strukturę uniwersalną – faktycznie podział ten nigdy nie zaniknął. Wspomniane już muzealne łuski od nabojów na dnie okopów, porośniętych przeróżnymi trawami polonin, dają najpełniejsze wyobrażenie o zderzeniu geopolitycznych interesów właśnie tych dwóch państwowych

tworów. Choć i po ich upadku ten łuk, to odwrócone „c”, które samo w sobie jest znakomitą unaocznieniem idei „kresowości”, pozostawało wciąż miejscem przecięcia wpływów i wektorów, wytyczanych z równą intensywnością przez młode postimperialne państwa i państewka. Aż dopóki nie przyszli olbrzymi w fufajkach i nie wypełnili tutejszych studni ciałami z kulą w potylicy, tym samym umieszczając w podwalinach swojego reżymu dynamit, który wybuchł równo pół wieku później, złotej jesieni* osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Ale można też przypuścić (swoboda tego gatunku pozwala na to), że rzeczywiście w przeciągu stuleci dominowały tu wpływy całkiem innego rodzaju. Nie te widoczne i odczuwalne wpływy imperiów, armii, policji, polityk, lecz tajemnicze oddziaływanie ciał niebieskich i wiedzy tajemnej, swego czasu wykradzonej, no, na przykład z Indii. Jednak – jak zwykłem podkreślać – „nie z tych Indii, które wyobrażamy sobie jako bratni kraj”. A z tych Indii, nieco wymyślonych, nadrealnych, tych, „gdzie właściwe jest słowo «rachmanne»”.

3

Wedle dawnych wierzeń ukraińskich, Indie to nie całkiem półwysep i nawet nie kontynent, pręcej Wyspa, leżąca gdzieś pośród wód Oceanu. Wyspę Indie zamieszkują Rachmani – dość niefortunne stworzenia, które nie

* „Złota jesień” to określenie radzieckiej propagandy odnośnie września 1939 roku i „wyzwolenia”, przyniesionego przez armię radziecką ukraińskim i białoruskim ziemiom II Rzeczypospolitej (dop. tłum.).

mają kalendarza i nie wiedzą, jak obliczyć, kiedy przypada Wielkanoc. Siedzą więc na brzegu Oceanu i medytują w oczekiwaniu. W oczekiwaniu na skorupki.

Po śniadaniu wielkanocnym trzeba koniecznie wrzucić skorupki od jajek do najbliższej rzeki, czy choćby strumyka. Spływając w dół wraz z wodą, skorupki z pewnością trafią do Prutu, a stamtąd do Dunaju, który w rzeczywistości jest tylko inną nazwą Nilu. Z Dunaju droga skorupki prowadzi przez morza na koniec świata. Pochwycone i niesione przez ciepłe prądy, na dziesiąty piątek swojej podróży skorupki przybijają do brzegów Indii. Wtedy Rachmani dowiadują się, że już nastąpiła Wielkanoc i zaczynają świętować swoją rachmańską Wielkanoc.

Dawno temu, przed siedmioma i pół tysiącem lat, to znaczy niedługo po tym, jak oddzielono świat od chmur i wody, jedno z plemion rachmańskich opuściło Indie na czółnach i latających dywanach. Obecnie trudno doszukać się przyczyn tej ucieczki – równie dobrze mogło to być zaćmienie umysłowe, jak i mistyczne objawienie. Porzucając wyspę, uciekinierzy unieśli ze sobą niemal całą wiedzę tajemną – w workach, sakwach i kieszeniach, ponieważ nie mieli ksiąg i nawet ich nie potrzebowali, gdyż wszystkie najważniejsze zaklęcia i przekleństwa znali na pamięć. Wykradziona wiedza dotyczyła przede wszystkim prawdziwej rachuby czasu, łańcuchowego nawarstwiania przyczyn i skutków, umiejętności odczytywania przeszłości i przepowiadania przyszłości z wizerunków na dłoni, z rozmieszczenia przedmiotów w izbie lub z gwiazd, sztuki tresowania niedźwiedzi, hipnotyzowania dzieci oraz obróbki metali na gorąco.

Potomkowie Rachmanów wynaleźli skrzypce i złote zęby. We Wschodnich Karpatach pojawili się dopiero w późnym średniowieczu, kiedy to król Karpo-Krótki-Rozum, znany ze skłonności do alkoholu i filantropii, przez wszystkie cztery bramy wpuścił ich do środka swojej letniej rezydencji, Czortopola. Tabor wraz z tresowanymi niedźwiedziami i niezliczonymi dziećmi zatrzymał się na Rynku. Tego samego popołudnia do rachmańskich namiotów nieprzerwanym strumieniem popłynęło kradzione ptactwo i jarzyny, a mieszkańcy Czortopola zadrżeli, usłyszawszy pierwsze przepowiednie...

...Tejże zimy Rachmani nie odeszli z naszego miasta. Zawsze zjawiali się dopiero wiosną, przybywali w brudnych czerwonych wagonach kolejowych z cieplejszych równin za Karpatami, rozkładali się na młodej trawie dworcowego skweru, rozpełzali się po ulicach i podwórzach, napętniając lekko nagrżane powietrze nerwowością, kartami do gry i mieszanką węgiersko-rumuńsko-słowacko-słoweńsko-cerkiewnosłowiańsko-ukraińsko-rusińsko-rosyjsko-szwargotliwo-jakichś tam jeszcze (sanskryckich?) dźwięków, tą prawie pozbawioną sensu mieszaniną, której jedynym przeznaczeniem jest omamić i zbałamucić. A może i zachować mity. Przecież to właśnie oni, poskramiacze niedźwiedzi i policajów, byli, są i pozostają najwierniejszymi obywatelami nieistniejącej Europy Środkowej, tej fikcyjnej wspólnoty, tej rachmańskiej konfederacji, poddanyymi wszystkich na świecie pstrokatych monarchii i miasteczkowych republik...

...Tak więc tej zimy nie odeszli z naszego miasta. Zawsze odchodzili wraz z pierwszym jesiennym śniegiem, kiedy życie na skwerze stawało się nie do przyjęcia nie tylko dla ptaków, ale nawet i dla nich. Ale tej zimy nie odeszli. Może otrzymali jakiś tajemny znak. Mam nadzieję, że dobrze go zrozumieli.

„Postawiłem sobie za cel zgłębić istotę astrologii wszystkich cywilizowanych narodów – starożytnych i nowożytnych – i po dziesięciu latach badań, które tak wiele mnie kosztowały, osiągnąłem wreszcie rezultat, przechodzący wszelkie moje oczekiwania. Śmiało teraz mogę stwierdzić, że los i przyszłość człowieka da się zbadać – pod warunkiem, że nie będziemy stawiać bezsensownych wymagań, jak to czynili średniowieczni astrologowie, lecz pozostaniemy umiarkowani, w granicach określonych niedoskonałością ludzkiej natury”. Tak pisał w Dniu Feniksa, czyli 21 marca Roku Pańskiego 1883 czerniowiecki poeta i ekscentryk, oficer austriacki, uczestnik północnowłoskiej ekspedycji z 1859 roku, geometra i aptekarz, ulubieniec patriotycznej krytyki, „bukowiński słownik” i „karpacki Szewczenko” w jednej osobie, Hucuł, który miał po ojcu w połowie polską krew, romantyk, narodnik i pλανetnik, Adalbert Ferdynand Osyp Jurij Ritter von Fed’kowycz de Hordyński.

Dziesięć lat życia przerodziło się w dziesięć tysięcy stronik traktatu astrologicznego, pisanego bukowińską odmianą klasycznego języka górnoniemieckiego. (Takim językiem mówiła jeszcze Olga Kobyłańska, lecz Paul Celan niewątpliwie posługiwał się już innym językiem.) Sądząc po rozmytych przez rzekę czasu fotografiach Fed’kowycz, mimo na wskroś wiedeńskiej fizjonomii, zwykł był chodzić w odświętnym huculskim kaftanie. Możliwe jednak, że w rzeczywistości nigdy w nim nie chodził, a przyodziewał ten strój tylko i wyłącznie do fotografii. Będąc do końca konsekwentnym epigonem

Szewczenki, Ritter de Hordyński mógł upatrywać w tym odzieniu iście bukowiński odpowiednik Szewczenkowskich kozuchów i baraniej czapki.

Ponadto w ówczesnych Czerniowcach, położonych na głównym szlaku handlowym ze Lwowa do Jass (dziś, jak już wspomniano, ze Lwowa do Stambułu) istniała na tyle barwna mieszanka etniczna, że zdziwienie kogokolwiek swoim strojem było rzeczą niemal beznadziejną. A jednak Fed'kowycza poznawano z daleka. Znajomy kelner z pobliskiej niedrogiej restauracyjki „Zielony myśliwy” codziennie przynosił karafkę śliwownicy i wraz z tacą podawał mu przez otwarte okno. Powiadają, że był to gratis od właściciela lokalu, Fed'kowycz bowiem układał za frajer dla niego i jego rodziny horoskop.

W jego *Utworach zebranych* z początku stulecia zamieszczono wstęp (niecałe osiem stron maszynopisu) do wspomnianego traktatu. Gotycki kształt germańsko-niemieckich liter jego tekstu kojarzył się niechybnie z innymi popularnymi wówczas rzeczami (Nietzsche, Zaratustra, aryjska symbolika ognia, swastyka und so weiter). Ogromna Ptolomeuszowa mapa gwiazdzistego nieba, które niemieccy romantycy w zachwycie nazywali firmamentem też byłaby na miejscu. Jednakowoż nazbyt postępowi wydawcy potraktowali pracę Fed'kowycza jak przystało na ludzi o pozytywistycznym światopoglądzie, uznając ją za przejaw kuriozalnego zwichrowania niezupełnie trzeźwej głowy (wtenczas nazywano to „kuku na muniu”). Nie przekonała ich nawet żelazna logika i artyleryjska dokładność jego wywodów. A oto ich próbka: „Jak wszystko w makrokosmosie podporządkowane jest regułem twardym i niezmiennym, obliczanym z matematyczną dokład-

nością, tak i mikrokosmos czyli indywiduum, w naszym przypadku człowiek, jest od tych reguł uzależniony. Istoty podporządkowane jednej i tej samej zależności, wpływają na siebie wzajemnie, stosownie jednak do swojej wielkości, siły i mocy. Ponieważ oddziaływanie tych trzech głównych czynników samo w sobie jest niezaprzeczone, a Całe Istnienie też nieubłaganie podporządkowane jest matematycznym regułom, zatem wzajemne wpływy makrokosmosu i mikrokosmosu również można określić z matematyczną dokładnością. A ponieważ los człowieka jest niczym innym, jak tylko sumą wpływów universum (makrokosmosu) na człowieka (mikrokosmos), to owe wzajemne wpływy dają się obliczyć zarówno w przeszłości, jak i w przyszłości”.

Wydawców nie skusiła nawet biograficzna intryga, o której czytamy dalej: „w młodości [autorowi] pewien astrolog przepowiedział przyszłość. Jego przepowiednia jak dotychczas spełniła się dosłownie. Ta właśnie okoliczność zachęciła go do wieloletnich niestrudzonych poszukiwań, które tak wiele go kosztowały”. Na wydawców nie wpłynęło nawet sensacyjne wręcz zapewnienie, jakoby „autor ma prawo sądzić, że odnalazł zagubiony niegdyś klucz, którym posługiwali się starożytni egipscy astrologowie, otwierając nim tajemne bramy przeszłości”.

Ale w jaki sposób posiadał on ten klucz – zapytajmy dzisiaj choć my, idąc w ślad za Fed’kowyczem, który udziela nam co prawda najbardziej wyczerpującej odpowiedzi: „Musi to pozostać tajemnicą”.

Tak, to musi pozostać tajemnicą.

Lecz w jaki sposób posiadał on ten klucz? Z jakiej wyprawy przywiózł to bezcenne trofeum? Jakież to planet-

nik, wędrowny kuglarz czy udający cyrulika miastecz-
kowy Chaldeczyk zdołał mu przekazać tę wiedzę tajemną
– rachmańską, indyjską, egipską? A może spłynęła nań
niczym objawienie, częściowo zakodowane w huculskich
snach i zbuntowanych archetypach? Ta dzika struktura, ta
miksztura, ta mieszanina roślin, języków, napojów, uczuć,
zwana Karpatami, czy to nie ona wywołała burzliwą
reakcję kosmiczną, na skutek której wszystko, no po
prostu w s z y s t k o otwiera się i widnieje jak wizerunek
na dłoni – bierz i czytaj?!

Końcowe akordy wstępu do traktatu są równie eklek-
tyczne, co ekstatyczne. Demiurg zwycięża geometrę.
Alchemik zatriumfował nad aptekarzem. Swobodne drga-
nia istoty oraz substancji rodzą patetyczne drżenie płuc
i przepony:

„Chwała, o Przedwieczny, oczom Twoim, Duszo
Wszechświata, Panie czasów nieskończonych, Stróżu
Feniksa, który życie świętym rozświeglasz, alleluja Tobie
pod niebios!

A jeśli taka jest wola Twoja, ześlij ją na sługę Twego,
który prawdę świadczy, w zaiste wiecznej Twojej praw-
dzie dla dobra i błogosławieństwa sprawiedliwych, Ty,
któryś sam jest wieczną prawdą, a prawda wieczna
spoczywa w Tobie.

I Ty, Synu Boży, który dzierzysz w swej prawicy
Siedem Gwiazd, a ustami swoimi obusieczny miecz,
dopomóż mi, o Wszchemogący, dowieść niedowiarkom,
żeś jest Alfą i Omegą, początkiem i końcem! O, Ty, który
sam nie masz ni początku, ni końca!”

Nie jestem pewien, czy traktat ten się zachował.
Możliwe, że stróż Feniksa nie uważał za konieczne

odrodzenie traktatu z popiołu. W rzeczywistości bowiem rękopisy płoną i kto, jak nie podpalacze wiedzieć mogą o tym najlepiej?

A jednak i nam coś pozostało w spadku. Jakieś porzucone obserwatorium, spojrzenie skierowane ku górze. Coś niezupełnie jasnego, jakaś pionowa orientacja. Nie więcej.

Wydaje się, jakbyśmy słuchali muzyki sfer. Lub przeciwnie – huculskiej muzyki.

5

Trudno odnaleźć na tym świecie muzykę bardziej ziemską niż huculską. Poziomem biologicznego napięcia, cielesności, seksu i śmierci może jej dorównać chyba tylko muzyka rumuńska. Albo cygańska. Albo góralska. Albo węgierska. Albo słowacka. Albo łemkowska.

Zdaje się, że huculską muzykę jeszcze istnieje, choć jutro może jej już nie być. Większość z nas tego nawet nie zauważy, przede wszystkim sami Huculi. Dziś wielu w zupełności wystarcza nawet nie Madonna, a Masza Rasputina. Imperium moskiewskiej estrady nie oddało ani piędy swego terytorium. Jak dawniej jego granica na zachodzie sięga aż do Czopu i Mościsk. To imperium budek i szczęk dyktuje swoją wolę, a ściślej – stanowi swoją wolę. Huculską muzykę zamienia się w kicz. Europa Środkowa Kosowa i Rachowa rozmywa się w Eurazję. Staje się obszarem, po którym nieustannie przemieszczają się na zachód zunifikowani, a właściwie

mówiąc zainfekowani „grażdanie WNP”. To oni serwują nam swoją Maszę Rasputiną.

A co nam pozostaje?

Muzyka to jedyna realna rzecz w widmowej strukturze Europy Środkowej. Muzyka nadaje sens rozmowom o jedności i wyjątkowości. Przebywa poza wszelkimi stereotypami i chronicznymi konfliktami. Jej motywy są wędrowne, a postaci – uniwersalne.

Niewątpliwie nie byłoby tej muzyki, gdyby nie Karpaty. Możliwe, że istnieje także odwrotna zależność: nie byłoby Karpat, gdyby nie ta muzyka. Wszystko inne to wzajemne pretensje, ataki, podboje, asymilacja. Każdy zawinił tu przed każdym; przetrwanie kosztem słabszego, wysysanie surowców, taniej siły roboczej, zbójnictwo, wystawiane na rozdrożach odrąbane głowy, właśnie religijne i po prostu pijana rzeź.

Zbudowanie na tej podwalinie jakiejś nowoczesnej wspólnoty (prócz mafijnej) jest chyba równie trudne, jak trudne jest napisanie na nowo historii, której jedynym fascynującym fragmentem może zdać się – niezupełnie słusznie – utopia Monarchii Dunajskiej. Najbardziej pragmatyczni politycy zorientowali się już w rzeczywistym stanie rzeczy.

Co nam więc pozostaje? Wyprawy w góry, zapisywanie folkloru? Poszukiwanie zapomnianych traktatów, powrót do astrologii? Oczyszczanie źródeł kultury z przyczynowo-skutkowych nawarstwień? Czy też może oczekiwanie na wielkie przybycie zza oceanu skorupki jaj?

Jako szczególna metanauka przyszłości, karpatologia nie wypracowała jeszcze ostatecznych odpowiedzi na te oraz inne zasadnicze pytania. A co wiadomo na pewno?

Karpaty to wielka klamra, spinająca w jedno skłonne do chaotycznego rozpełzania się części bytu. Karpaty to wielki wysiłek sejsmiczny, strefa szczególnych możliwości i napięć energetycznych. Karpaty dzielą w sensie ziemskim, ale łączą w sensie kosmicznym. Zapewne obydwie sensy są równie konieczne i w równej mierze ukazujące istotę. A skoro tak, to jest to początek dialogu. Ważne, by nigdy się on nie skończył. We wszystkim innym warto polegać na Tym, który sam nie ma ni początku, ni końca.

przełożyła Ola Hnatiuk

Miasto-okręt

Wątpliwe, by król Daniel Halicki, założyciel Lwowa wiedział, że miejscowość wybrana przez niego na najbardziej zdumiewające w przyszłości miasto europejskiego Wschodu ma tak ciekawą właściwość geograficzną. Pamiętam ten pobożny niemal i dziecinny zachwyty, który ogarnął mnie swego czasu, gdy dowiedziałem się o jej istnieniu. Właściwość ta wydała mi się wyjątkowo symboliczna, a to oznacza, że nieprzypadkowa. Strzała, wypuszczona w połowie XIII wieku z królewskiego łuku, trafiła „w jabłko”.

Istota wspomnianej właściwości sprowadza się do tego, że przez terytorium miasta Lwowa, przez jego niemal całkowicie wybrukowane i zamurowane wzgórza, przebiega dział wód dwu basenów: Morza Bałtyckiego i Czarnego. Szczytowy punkt niewidocznego dzisiaj grzbietu wododziału znajduje się kilkaset metrów od głównego dworca kolejowego. Wszystkie wody na północ od tego punktu należą do Bałtyku, na południe zaś – do Morza Czarnego. Punkt przecięcia dwu osi dzielących obszar na wschód-zachód i północ-południe w nieuchronny sposób stał się punktem przecięcia szlaków handlowych, a przez to także obiektem najróżnorodniejszych inwazji – duchowych, politycznych, wojskowych, obyczajowych, językowych. Niemiecka nazwa miasta – Lemberg – znaczy niezupełnie to samo, co łacińska Leopoldis albo sanskrycka Singapur. W tym także można dostrzec znak „wododzielności” – przynależności do wielu kultur jednocześnie

i nieprzynależności do żadnej z nich w całości – tego miasta, które wybitny powieściopisarz okresu międzywojennego nazwał „miastem zatartych granic”. Postaram się jednak uniknąć czysto publicystycznej pokusy nazywania go dziś „miastem tworzonych granic”.

Zamiast tego odwołam się do zasadniczo odmiennej metafory – nie do wododziału (tego, co rozdziela), a do tego, co łączy. Dla polityków byłaby to okazja do pomówienia o idei bałtycko-czarnomorskiej. Ale ze mnie polityk raczej średni, a prawdę mówiąc – żaden. Chciałbym myśleć i mówić o czymś innym. Na przykład o lwowskiej kanalizacji miejskiej – rzecze Połtwie, po której jeszcze trzysta lat temu pływały żaglowce z Gdańska i Lubeki, a w jej wodach gołymi rękoma łowiono wężowate atlantyckie węgorze. Mija właśnie sto lat, od kiedy okaleczono rzekę, skrywając ją pod ziemią. W tym sensie Lwów jest absolutnym przeciwieństwem Wenecji. Tu tak bardzo brakuje wody, że mieszkańcy starych dzielnic marzą o nadejściu Tego, Kto zamieniłby wino w wodę. W sierpniu ten skwarny dramat osiąga apogeum. Jedynym ratunkiem są wówczas okoliczne lasy i parki z prastarą, iście królewską roślinnością i z tajemniczymi źródłami leczniczymi, których to zresztą – lasów, parków i źródeł – robi się coraz mniej.

To oddech Południa, coraz bardziej gorący. Architektoniczna topografia Lwowa jest raczej łacińska, raczej romańska, raczej barokowa. Za radzieckich czasów to we Lwowie kręcono filmy o Paryżu albo Rzymie. Jeśli w filmie miał być Londyn albo Sztokholm, to kręcono go w Rydze lub w Tallinie.

Lwów przesycony jest atmosferą kultury śródziemnomorskiej. Skrzydlaty lew św. Marka na budynku konsula Wenecji Bandinellego (Rynek), podobnie jak podwórze florenckie czy wspaniała szmaragdowa coppola kościoła dominikanów nie są na mapie miasta czymś egzotycznym. Począwszy od XVI wieku jego oblicze w znacznej mierze kształtowali wszelakiego rodzaju włoscy wygnańcy, obieżyświaty, włóczędzy, awanturnicy uskrzydleni ideami renesansowego humanizmu, epigoni wzniosłego quattrocento, wszyscy ci bohaterowie „płaszczka i szpady” w rodzaju Barbony di Pietro, Paola Rzymianina Dominici, Ambrożego „Przychylnego” czy Kallimacha – Buonaccorsi, wszyscy ci kurtuazyjni manie-rzyści*.

Te romańskie akcenty w znacznym stopniu uzupełniają czy równoważą akcenty bizantyjskie bądź greckie. I rzecz nie tylko w bizantyjskim obrządku ukraińskich cerkwi. Rzecz w tym, że istnieje szczególna bizantyjska mentalność, która stanowi tak istotną przeszkodę we wchodzeniu do Europy, a być może również chroni nas przed wejściem do niej. Jest jak Cerkiew pod wezwaniem Zaśnięcia NMP z wieżą Korniakta – nie sposób tego akcentu zatrzeć ani zignorować.

Jednakże nasza podróż na Południe na tym się nie kończy. Nie wspomniałem przecież o Ormianach, którzy reemigrowali do Lwowa przeważnie z Krymu, gdzie wojujący mahometanizm pozostawiał im coraz mniej przestrzeni dla świątyń i sklepików. Od nich to bierze początek silny pierwiastek orientalny w mieście. Dywany

* Aluzja do nazwy moskiewskiego ugrupowania literackiego.

perskie tkane we Lwowie uważano za piękniejsze od oryginalnych wyrobów perskich, że już nawet nie wspomnę o takich aromatycznych substancjach, jak imbir, kardamon, szafran, pieprz, muszkat; to właśnie Ormianie sprawili, że miasto zasmakowało w aromatycznych przyprawach. A jednak dotychczas nikt, jak mi się zdaje, nie rozszyfrował napisów nagrobnych ze starego cmentarza ormiańskiego, choć jak wieść głosi, sformułowano tam rzeczy nieskończenie mądre i absolutnie nam niezbędne. Za koniec ormiańskiej społeczności we Lwowie można uznać rok 1946, kiedy bolszewicy zlikwidowali ormiańsko-katolickie arcybiskupstwo (podobnie jak ukraińskokatolickie).

Jeśli chodzi o Żydów, to pojawili się we Lwowie jeszcze wcześniej niż Ormianie, gdzieś pod koniec XIV wieku. A byli wśród nich nie tylko szmaccarze, szynkarze i wekslarze, których ze świętym oburzeniem piętnował w swoim kunsztownym łacińskim wierszu z XVI wieku Sebastian Fabian Klonowic (*Jak to rdza żżera żelazo, a mól odzież, // Tak i nierób Żyd niszczy i wszystko rujnuje*); – byli wśród nich i uczeni talmudyści, i astrologowie, i czarnoksiężnicy, a także znawcy chaldejskiej mądrości oraz wiedzy tajemnej. Ci ostatni padli ofiarą faszyzmu w latach czterdziestych, a ci, którzy przybyli potem, byli już zwyczajni, radzieccy i zdenacjonalizowani. Ten wytępiony typ galicyjskiego Żyda zrodził wiele nieprzeciętnych osobowości, do których należał cytowany już wcześniej Józef Roth, a także nostalgiczny eseista Józef Wittlin,

i bezsprzecznie Bruno Schulz – zagadkowy literacki owoc o perwersyjnie słodkim posmaku.

Któż jeszcze płynął na tym okręcie?

Niemcy, albo, jak ich tu tytułowano, „Szwabi”, pozostawili ślad w przekreślonych nazwach lwowskich przedmieść. To, co dziś znane jest jako Łyczaków, pochodzi od *Lutzenhof*, Zamarstynów od *Sommerstein*, Kleparów od *Klopper*, Majorówka – od *Majer*, Kulparaków od *Goldberg* itd. Był jeszcze właściciel karczmy na Zamarstynowie o znaczącym nazwisku Makolągwa, a także Józefa Kun, zakonnica benedyktynka, autorka zbiorku poży *Lembergs schöne Umgebungen*, czyli „Piękne lwowskie okolice”.

Kto jeszcze znalazł się na tym statku, w jego kajutach i ładowniach, na pokładzie i na maszcie?

Może wystarczyłoby zwykłe wyliczenie?

A więc: Serbowie, Dalmatyńczycy, Argonauci, Tatarzy, Turcy, Arabowie. Szkoci, Czesi, Maurowie, Baszkowie, Scytowie. Karaimi, Chazarowie, Asyryjczycy, Etruskowie. Hetyci, Goci, Biali i Czarni Chorwaci, Celtowie, Antowie, Alanowie, Hunowie, Kurdowie (Kurdowie!), Etiopczycy, Cyklopi, Agrypi. Lestrygoni, Androgeni, Arianie, Cyganie, Kinokefalowie, Elefantofagowie, Afrykańczycy. Masoni i Metysi, Małorusini i masochiści. Franciszkanie, kapucyni, karmelici bosci i odpowiednio – karmelici trzewiczkowi, bernardyni, klaryski, urszulanki, sakramentki, cecylianki. Dominikanie, bazylianie, rastafarianie, redemptoryści, potem jezuita, a jeszcze wcześniej trynitarze, którzy zajmowali się wykupywaniem chrześcijańskich niewolników ze wscho-

dniej niewoli. Różokrzyżowcy, studyci, templariusze, prawosławni i lewosławni.

Jestem przekonany, że wszyscy oni zdążyli tu zagościć. A przecież wyliczyłem jedynie niektórych.

Bo Lwów leży pośrodku świata. Tego Starego Świata, który był płaski, spoczywał na wielorybach, czy żółwiu, a jego najbardziej oddaloną częścią były Indie, o brzegi których rozbijały się fale Nilu, a może Oceanu.

Nawet lwowska flora zachowała niezaprzeczone oznaki „wszystkoizmu”. Bałtycka sosna i krymski cyprys bez przeszkód współistnieją w jego ogrodach, a każdy z nich śmiało mógłby zwać się ogrodem botanicznym.

My, ludzie jesteśmy stworzeniami nierozważnymi i niewdzięcznymi, skazanymi na to, by wciąż coś tracić. Nigdy nie cenimy tego, co w nas tkwi, czym obdarza nas opatrność.

Jedna z moich ulubionych książek, *Historyczne przechadzki po Lwowie* Iwana Krypjakewycza, zawiera posępny rozdział: *Nie istniejące świątynie*. Czasem zadaję sobie pytanie: gdyby książkę tę napisano nie w 1931 roku, a dzisiaj – o ile dłuższy i bardziej przygnębiający byłby ten rozdział? Brakuje mi we Lwowie synagogi Złota Róża. Brakuje mi tatarskiego meczetu i tatarskiego cmentarza gdzieś pod Wysokim Zamkiem – jeszcze z XVII wieku. Pokazywano je przyjezdnym wędrowcom. Brakuje mi wielu innych rzeczy, wśród których były i doroczne lwowskie karnawały, i niedzielne uczyty dla żebraków, i na poły fantastyczny zwierzyniec w okolicach Pohulanki.

Niektórzy z nas pragną ocalić je choćby wierszem. I mimo to zwykle jakoś wymykają się. Bo ten Lwów to okręt-widmo.

Idylliczne i bezbolesne nawarstwienie kultur jest mitem. I wcale nie jestem pewien, czy mitem nieszkodliwym. Zresztą zawierzmy klasykowi – oto jak pisał o tym nawarstwieniu:

Jeśli kogoś w naszym mieście męczy w łóżku bezsenność, to może wstuchać się nocne głosy. Wyraźnie i ciężko wybijają czas dzwony na katolickiej katedrze: druga w nocy. Mija trochę więcej niż minuta... i dopiero wtedy odzywa się głosem słabszym, ale przenikliwym dzwon prawosławnej cerkwi i również obwieszcza swoją drugą godzinę. Po niewielkiej przerwie słyszymy zachrypnięty, daleki dźwięk zegara na meczecie, ale ten wybija jedenastą, jakąś tajemniczą turecką porę, podporządkowaną dalekiemu, cudzoziemskiemu, dziwacznemu odmierzaniu czasu. Żydzi nie mają na wieży zegara i tylko Bóg jeden wie, którą godzinę wybijają ich zegary według sefardyjskiego, a którą według aszkenazyjskiego czasu.

To Ivo Andrić, a nocne miasto, o którym tu mowa, nazywa się Sarajewo. Nie wspomnę o nim już ani słowem.

Nawarstwienie kultur to nie tylko święto zatartych granic – to także krew, brud, czystki etniczne, ludobójstwo, eksterminacja. Być może przejęczyłem się i powinienem był powiedzieć „nawarstwienie antykultur”. Ale ono też jest nieuniknione w środowisku wieloetnicznym.

Kiedy w połowie XVIII wieku na wzgórzu św. Jerzego we Lwowie wzniesiono okazałą barokową cerkiew św. Jura, stała się ona architektoniczną dominantą miasta, widoczną zewsząd. To, rzecz jasna, denerwowało wielu rzymskich katolików, ponieważ katedra św. Jura należy do wiernych obrządku wschodniego. Odplacono im po niespełna dwustu latach, kiedy na placu Przy Dworcu wystrzeliła we lwowskie niebo wysoka wieża neogoty-

kiego kościoła św. Elżbiety. Zasłonił on Katedrę św. Jura od strony dworca kolejowego. Od tamtej pory goście Lwowa utracili panoramę Wzgórza św. Jerzego. To jeden z przykładów wspomnianego nawarstwienia. Czego jest w nim więcej – religijnej zapalczowości, dumy, twórczej rywalizacji, żądy posiadania?.. Nie znam odpowiedzi, chociaż wiem na pewno, że dzisiejszego Lwowa nie można już sobie wyobrazić bez tej pseudogotyckiej, kiczowatej „Św. Elżbiety”.

W ulicznych walkach 1918 roku we Lwowie Polacy wygrali z Ukraińcami przede wszystkim dlatego, że było to ich miasto – i to nie w jakimś abstrakcyjno-historycznym wymiarze, ale właśnie w wymiarze konkretnym, osobistym – to były ich bramy, podwórza, zaułki, to oni znali je na pamięć choćby dlatego, że właśnie tam umawiali się na pierwsze randki ze swoimi pannami. Ukraińcy w znakomitej większości pochodzili ze wsi i słabo orientowali się w obcych sobie warunkach. Wspierała ich jedynie nieco przebrzmiała idea „książęcej świetności naszego Lwowa”. Ale kiedy po osiągniętym zwycięstwie (używam tego słowa z tak dużą względnością, na jaką mnie stać), polska administracja rozpoczęła historyczne wręcz represje wobec bezbronnych, przeprowadzając masowe aresztowania, pogromy, zachowała się jak obcy, przybysz, zdobywca obcego miasta, jak ślepy barbarzyńca, nieczuły na prawdziwie lwowską polifonię. Biada zwycięzcom – oto nieunikniony rezultat czyjegokolwiek zwycięstwa.

Wkraczamy jednak na obszary bardzo odległe od kultury.

Jak widać nie dotrzymałem swojej obietnicy, że będę mówić o tym, co łączy. Może jednak godnym zakończeniem zdołam uratować sytuację?

Teza o niepodzielności kultury nie zawsze wygląda przekonująco. Kultura Północy i Południa, kultura Wschodu i Zachodu (zważmy, że istnieje także Północny Wschód i Południowy Zachód, a także odwrotnie, i mają nieskończenie wiele niuansów) są pojęciami równie nie-dookreślonymi, co nie do połączenia. I tylko z dobrej woli Tego, Kto Rozdaje Geografię, czasem udaje się coś połączyć. W dodatku na niezwykle śmiesznej zasadzie – na przykład działu wodnego dwu basenów morskich. Ale dzięki temu właśnie tu i teraz, pod koniec stulecia i tysiąclecia, mamy wspaniałą okazję być pasażerami jednego z okrętów, który płynie, jak nam się wydaje, w znanym kierunku. Możliwe, że jest to nawet arka, na której, jak w starym eklektycznym Lwowie zebrano nas po to, by uratować „po parze z każdego rodzaju”. Być może to po prostu pijany okręt. Być może jest to okręt głupców. A może, jak u Rotha – miasto zatartych granic, płynący Triest, wędrujący Lwów, Lwów, Lemberg, Leopoldis, Singapur...

przełożyła Ola Hnatiuk

Miłość i śmierć w rycerskim stylu: wyzwalanie panny

I

Nie jest to referat uczonego, raczej próba beletrystyki, swobodne przenoszenie się z kraju do kraju, z kultury do kultury, z języka do języka. Albo nie – ostrożne, z nieustannym rozglądaniem się, odszukiwanie po omacku ścieżek wiodących do mitu, więcej nawet – systemu mitów, do mitologii przyszłości. Chociaż jaka to przyszłość przed nami, moi państwo? W perspektywie – ustawiczne zagrożenia, jak nie jedno, to drugie, jak nie jedno i drugie, to piąte i dziesiąte, przy czym wszystkie bez wyjątku fatalnie nieuchronne, o posmaku końca, a nadchodzące kolejne tysiąclecie kojarzyć się nam może jedynie z eschatologicznym koszmarem. Oto i bohaterowie naszego spotkania – Eros i Thanatos – ukazali nam w finale tysiąclecia kolejny napawający przerażeniem wariant swych stosunków – AIDS, wskutek czego stary jak świat rym „krow – lubow” (krew – miłość) stał się znów niezwykle aktualny...

Nie jest to referat uczonego, a notatki dyletanta. Jednakże każdą mitologię niewątpliwie tworzą właśnie dyletanci, a nie naukowcy.

Dlatego też, mimo pozornej historyczności, moja wypowiedź będzie miała niewiele wspólnego z historią jako nauką (w sensie dokonanych faktów historycznych).

Z historią kultury – trochę więcej, choć znowu nie na poziomie faktów, tylko na poziomie hipotez. Hipotez, w które osobiście bardzo chciałbym wierzyć, choćby z tej przyczyny, że są to moje hipotezy.

Zresztą temat naszego spotkania jest również mitologiczny.

Spójrzmy na jego głównych bohaterów. Pierwszy z nich to syn Afrodyty i Aresa, a może nawet Zeusa, albo też, wedle Platona, Porosa i Penii (Niebiańskiego Dostatku i Ziemskiego Ubóstwa) – genealogia antycznych postaci jest zagmatwana niczym kreteński labirynt. Tak więc pierwszego z nich starożytni Grecy wyobrażali sobie jako pełne blasku wszechpotężne stworzenie, młodzieńca niezwyklej urody, najmłodszego z bogów, twórczy promień świata. Złote skrzydła i tegoż koloru kędziory zgrabnie dopełniają złoty łuk i strzały. Poeci helleńscy zredukowali co prawda ten wizerunek, zmieniając go na pulchnego i kapryśnego figlarza, który urządza w majowych krzakach zasadzki na gapowatych kochanków – taki obraz przejęła i zapamiętała późniejsza Europa, zwłaszcza renesansowa i rokokowa.

Drugi bohater – demoniczny, utrzymany przeważnie w ciemnej tonacji, o czarnych skrzydłach i w czarnym płaszczu, syn Nocy. W micie o Syzyfie z niewiadomych względów staje się osobą płci żeńskiej, ale jest to jedyny transseksualny epizod w jego biografii. Najważniejszy w tym wizerunku jest bezlitosny miecz.

Miłość i śmierć, złoto i czerń, blask i mrok... I obydwaj uzbrojeni, obydwaj zawsze trafiają w cel.

Dlatego też w naszej opowieści pojawia się zapach bitwy oraz ledwo słyszalny dźwięk werbla, a na scenę

wychodzi trzeci bohater – z włócznią i zapaloną pochodnią, otoczony psami i sępami. Porywcze bóstwo wojny, olimpijski burzyciel i niszczyciel, „splamiony krwią”, „opętany”, ale – zauważmy – stała ofiara romantycznej miłości, Ares vel Mars.

Bo między miłością i śmiercią aż nazbyt często pojawia się wojna, bitwa, rozłąka, wyprawa, przygoda. To romantyczne przedstawienie trwa na wszystkich scenach świata dokładnie tak długo, jak długo istnieje Widz (a nie mamy żadnych wątpliwości, że Widz istnieje wiecznie). Przypatrzmy się więc temu polu chwały, na którym, wedle słów Iwana Kotlarewskiego, „pierś silniejsza jest od armat...”

2

Pieśń o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke w oryginale podarowano mi na kolejne urodziny. Rilkemu, wedle jego słów, też ją podarowano. Pewnej czerwcowej nocy 1899 roku zapisał ją w ciasnej izbie nieznanego zajazdu, powiedzmy, gdzieś w Karyntii. Obserwując z okna kapryśną grę chmur, wiatru i księżyca, Rilke nagle posłyszał rytm: „reiten, reiten, reiten” – „konno, konno, konno”*.

Nad ranem *Kornet* był już ukończony. Rilke czuł się wszechmocny i dumny jak paw. Tak bywa, kiedy zbyt mocno uwierzysz w to, co napisałeś. Wiara ta zresztą nie jest całkiem bezpodstawna.

Historię powstania *Korneta* Rilke opowiedział znacznie później, latem 1926 roku, na kilka miesięcy przed śmiercią, księżnej Marii von Thurn und Taxis-Hohenlohe,

* Tu i dalej poezja Rilkego w tłumaczeniu Adama Włodka.

podczas pobytu w jej zamku w Duino nad Adriatykiem. Uważnemu czytelnikowi nazwa zamku przypomni zapewne o *Elegiach duinejskich* – jednym z szamańskich cykli w liryce filozoficznej, zaczętych właśnie tam, w Duino, jeszcze w 1912 roku, ukończonym zaś dziesięć lat później w wieży Muzot, w kantonie Valais w Szwajcarii.

Tak naprawdę to Rilke był bezdomny. Wędrował od zamku do zamku, wspierany jedynie przez wygasające szlacheckie rody hemofilików, relikty starego europejskiego rycerstwa, ze skłonnościami do opium, spirytualizmu i dekadencja. Tak, niewątpliwie spirytualizmu! Bo czymże jest *Kornet*, jeśli nie wywoływaniem duchów?

Istnieje punkt widzenia, według którego Rilke wymyślił swoją przynależność do wielkiego szlacheckiego rodu. Że, grzebiąc w starych kronikach i pragnąc dogodzić drobnomieszczańskiemu snobizmowi, skądś wydobyl korneta Krzysztofa Rilke, swojego domniemanego przodka, który zginął za młodu w antytureckiej kampanii wojskowej 1663 r. I – że nawet gdyby ten Krzysztof rzeczywiście istniał, i tak nie miałby żadnego związku z rodziną Rilke, urzędników i kupców od pokoleń, czyli buergerów.

Stwierdzając to wszystko, biografowie i badacze twórczości poety zapominają o jednej rzeczy nie naukowej, o której w tej sytuacji, jak się wydaje, zapomnieć nie wolno. O mistyce. O mistyce czerwcowej nocy 1899 r., kiedy to narodził się *Kornet*. O mistyce duszy, która w wietrze, chmurach i księżycu rozpoznaje rytm. O mistyce krwi, która odzywa się sama w sobie, nawet po dwustu latach, i za tysiąc lat także. O romantyzmie miłości i śmierci. O neoromantyzmie Rilke.

...Przez wypaloną słońcem równinę pędzi wojsko. Synowie najczcigodniejszych rodzin Europy podążają coraz dalej na wschód, na spotkanie dwu światów – Krzyża i Półksiężycy, Wolności i Despotyzmu, Indywidualności i Masy. To bliski nam wątek, nawet pod geograficznym względem. Przecież opisana w *Kornecie* wypalona równina, chociaż jest niewątpliwie metaforą, ale może być także dzikim polem naszej historii. Motyw wschodniej wyprawy chrześcijańskiego wojska pojawia się po raz pierwszy u nas w *W Słowie o pułku Igora*. Wojny z Turkami to zapewne najsilniejsza z historycznych nici, która jednak, mimo wszystko, wiąże nas z Europą.

O tym będzie jednak jeszcze mowa. Wróćmy na razie do *Korneta*. Tak wiele znaczeń zakodowano w jego lakonicznym, a jakże bogatym tekście! Spróbujmy wyliczyć niektóre z tych znaczeń:

Po pierwsze – kult kobiety, w imię Której wszystko się dzieje, – kult matki (*Ktoś opowiada o swej matce*) i kochanki (*letni powiew, co z szat rozgrzanych niewiast mocno tchnie*), i samotna zniszczona kolumna w wypalonym stepie, która z czasem okazuje się Matką Boską (filar prawdy i cnoty).

Stąd też kult delikatnego erotyzmu, lekkiego i swobodnego, z wytwornymi gestami kawalera, tanecznymi symbolami, które mają źródła zapewne jeszcze w średnio-wiecznej *Powieści o Róży*.

Stąd także kult przygody, męstwa i szlachetnej walki, uwiecznionej w niezliczonych kodeksach, a najbardziej w sercach i płucach: *Droga matko moja, dumna bądźcie: chorągiew noszę*. Kornet Rilke dowiódł swej umiejętności pięknego umierania równie przekonująco, jak i umiejętności pięknego kochania. I wszystko w ciągu jednej

nocy – czas maksymalnie nasycony napięciem ducha i ciała!

Bo mamy przed sobą baśń o krańcowej wyrazistości i ostrości istnienia, w której każdy gest podyktowany jest estetyczną koniecznością, bowiem Widz z góry ogląda wszystko...

3

Romantyczny ideał rycerza, opiewany w *Kornecie* Rilkego, korzeniami swymi sięga czasów Aleksandra Macedońskiego, albo i głębiej – czasów Achillesa, a może nawet Heraklesa. W całej pełni i złożoności wykryształizował się dopiero w średniowieczu.

Oto, jak pisze o tym znany kulturolog holenderski, Johan Huizinga, w swojej przesyconej faktami *Jesieni średniowiecza*: „Właściwy ideałowi rycerskiemu głęboki rys ascezy i zdolności do poświęceń związany jest jak najściślej z erotycznym podłożem tej postawy życiowej, stanowi, być może, jedynie etyczną sublimację nie zaspokojonego pożądanego... Rycerz i dama jego serca, bohater powodowany miłością – oto pierwotny i niezmienny motyw romantyczny, który pojawia się wszędzie i zawsze i który wszędzie i zawsze musi pojawiać się na nowo... Ale marzenie o bohaterskim czynie popełnionym z miłości, które teraz napełnia tęsknotą i upaja serce, wzrasta i rozwija się jak bujna roślina... sprawia, że powstaje wspaniały motyw łączący rycerskość z erotyką: młody bohater ratuje niewinną dziewczycę... Wyzwalanie panny jest najpierwotniejszym romantycznym wątkiem, który nigdy nie traci świeżości”.

Rzeczywiście nie traci, gdyż podjęty przez Hollywood, staje się najbardziej rozpowszechnionym wątkiem w kinie dwudziestego wieku.

Romantyzm jest wieczny dlatego właśnie, że jest mityczny. Byłoby śmieszne ograniczanie go do okresu, wyznaczonego przez podręcznik.

Tym bardziej romantyzm ukraiński.

4

Gdy poszukujemy w kulturze ukraińskiej narodowego wariantu ideału rycerskiego, spojrzenie przyciąga wielokrotnie opiewany bezkres stepów i lasów. Jawi się nam Arkadia nieomal, ziemia aż nazbyt dobrze znana wykształconym Polakom z twórczości poetów „szkoły ukraińskiej”: bujne lato, miododajne łąki, urodzajny czarnoziem, kurhany i jary, wybujałe trawy wysokości jeźdźca... Ze względu na ekstremalność pejzażu i klimatu zaś – śnieżna zima, ptaki zamarzające w locie, zaspy – też wysokości jeźdźca...

To kraina, wymyślona przez literaturę na jej temat. Nie tylko polską zresztą – wystarczy wspomnieć Mikołaja Gogola, Oresta Somowa, Prospera Merimee czy też Byrona. Ziemia – mit, która rodzi takich samych mitycznych bohaterów. Nie chodzi już o ludzi jak u Herodota – o sześciu palcach, z okiem na brzuchu, jednakże... Zdumiony zachwyt widzimy w poezji polskiej od Klono-wica do Słowackiego, a nawet u grafomańsko wrażliwego Padurry.

W tym miejscu napotykaemy jednak problem bardziej realny: brak narodowej arystokracji, której wyższe rozgałęzienia zawsze, zwłaszcza zaś po katastrofie pod Połtawą, wybierały sobie cudzoziemskich suzerenów, niższe natomiast „spadały w dół drabiny społecznej, rozpuszczały się w pospólstwie w ten sposób «uszlachetniając» nasze chłopstwo”, by użyć tu słów Jewhena Małaniuka.

To Małaniuk właśnie przytacza świadectwo jednego z wędrowców, który, podróżując po Ukrainie na początku XIX wieku, odnotował w dawnych szlacheckich ukraińskich wioskach niewątpliwie rycerski zwyczaj: na przedzie orszaku weselnego zawsze podążał specjalny sługa (paź), niosący przed sobą przystrojony barwinkiem i rutą miecz. Pozostaje nam jedynie podać w usprawiedliwioną wątpliwość to świadectwo.

Jakże bliscy sobie są jednak nasi bohaterowie! Erotyka weselnego obrzędu, wyprawa do cerkwi i miecz jako podstawowy atrybut wojownika, poza tym również jako podstawowy atrybut czarnego demona Thanatosa...

Ziemia ta, niczym nieosłonięta od Wschodu i Południa z ich koczowniczymi ordami, musiała wykształcić silny stan zawodowych wojowników, zawsze gotowych do trzymać najświętszego przyrzeczenia: wyzwania panny. Tylko że Panną stawała się już cała ta ziemia, albo sprawy jeszcze bardziej wzniosłe – Matka Boska, Wiara Chrześcijańska. „Stosunkowo wcześniej Sicz Zaporoska – pisze Jewhen Małaniuk – wykazywała podobieństwo z zakonem rycerzy”.

Podkreślmy słowo „zakon”. Cóż bowiem oznaczał stan kozaka siczowego z punktu widzenia społeczeństwa?

Beżzenność. Erotyczne pożądanie było powściągane i zapędzane w najgłębsze zakamarki, sublimując się w waleczność, męstwo i zuchwalstwo, wiodące ku zwycięstwu. Jednakże podobnie jak współtowarzyszy wyprawy Igora wabiły wizje „pięknych kobiet połowieckich”, tak też największym zaporoskim zuchwalcom nie dawały spokoju upajające wonności zamorskiego seraju...

5

Piśmiennictwo staroukraińskie powstawało w języku cerkiewnym i, jak się wydaje, nie zachowało żadnego świadectwa duszy o erotyczno-wojskowych czynach zaporoskich zakonników pod opieką Najświętszej Panny i świętego Jerzego. Zajęta scholastyczną dysputą i czczym prawosławnym moralizatorstwem, odzwierciedla ono różne rzeczy – tylko nie żywe ludzkie namiętności. Klerykalny charakter tej literatury sprawia, że jest ona wykastrowana zarówno w formie, jak i w treści.

Natomiast autorzy łacińsko- i polskojęzyczni, wychowani na renesansie i innych swobodnych „italiańskich” wpływach, pomimo wszystko nie dają niezbędnego dla nas spojrzenia od wewnątrz, opisując ówczesne zwyczaje Ukraińców ze znacznym dystansem, sygnalizującym cywilizacyjną obcość wobec na poły barbarzyńskiego kraju – nawet jeśli dystans ten pełen jest życzliwości, a Ukraińcy wywołują zachwyt.

Tylko pieśń ludowa, ta najbardziej wytrwała gałąź naszej kultury, która przez stulecia pozostawała jedyną narodową szansą i szańcem, jest przekazem, w którym słyszymy echo płaczu i okrzyków bólu, rodzących się

między miłością i śmiercią. Najogólniej model naszego wątku odzwierciedla początek pieśni *Kozak widziżdżaje, diwczynońka płacze* („Kozak odjeżdża, dziewczę płacze”). Wątek wyzwania panny ulega nieznacznej zmianie: kozak zmuszony jest rozstać się z realną i konkretną panną, być może narzeczoną, w imię Panny uogólnionej, abstrakcyjnej, bezcielesnej. Ta ucieczka w bezżenność przypomina śluby zakonne.

Wcześni ukraińscy romantycy (Markewycz, Metłyński, Borowykowski, Zabiła), jak przystało na romantyków, przenieśli świat pieśni ludowej do literatury pięknej, choć prawdę mówiąc, podobnie jak Kostomarow, niedostatecznie władali językiem. Widzimy jedynie odbłask kozackich szabel, łez dziewczyny i zbieleńskich kości w szerokim stepie. Bardziej rozbudowany obraz przedstawił nieco później Pantelejmon Kulisz, choć i w tym przypadku „energetyczna masa” wszystkich jego poematów nie przewyższa lakonicznego, złożonego z czterech strof wiersza *Romans rycerski*, którego bohater

*znaje serdeńka sołodke trepetannie
I lyne, obniany, wełyčno, de meczy...**

Wszystko to było jednak tylko przedmową.

Bo oto wreszcie pojawia się Szewczenko, uniwersalne narzędzie do otwierania wszystkich naszych problemów kulturowych. *Faktem niezaprzeczalnym w poezji Szewczenki jest jej wyraźne kozacki duch, a najbardziej ulubione słowo i obraz to „sława”, k o z a c k a sława (podobnie jak i „kozacka krew”)* – pisze Jewhen Małaniuk. – *Zjawisko to nie może być*

* Zna serca słodkie drzenie // I leci, ognisty, dostojnie, ku mieczom (tłum. filologiczne).

przypadkowe, takie cuda się nie zdarzają. A „pańszczyźniane” pochodzenie Szewczenki trzeba byłoby przynajmniej ograniczyć – do jednego lub może dwu pokoleń. Natomiast k o z a c k i e p o c h o d z e n i e Szewczenki w świetle jego charakteru, psychiki i ducha twórczości nie wygląda na wyłącznie hipotetyczne.

Pamiętacie Państwo o mistyce krwi? O kornecie Krzysztofie Rilke, zrodzonym z wiatru, chmur i księżycy?

Szewczenko, ten petersbursko-jahotyński* cygan, wielki mistrz wędrownego zakonu rycerzy-moczymordów, roztacza przed nami wizję barwnego świata, w którym kocha się, walczy, pije i ginie, wizję świata żywego i pełnokrwistego – czasem wręcz krwawego. Jego kozacy nazbyt często przypominają „rycerzy smętnego oblicza” – zaklętych przez osierocenie, wiecznych poszukiwaczy szczęścia – doli, skazanych na złożenie kości gdzieś w dalekiej stronie czy też w niewoli „bisurmańskiej”. Uosabiają oni najbardziej wschodni wariant europejskiego chrześcijanina-rycerza.

Desant anatolijsko-stambulski wymyślonego przezeń atamana Hamaleja urzeczywistnia się z nie mniejszym poświęceniem i zuchwałością męża sprawiedliwego, niż największe wyprawy krzyżowe Philippe de Mèzières’a. Albo też – pamiętacie? – kiedy kornet Krzysztof w pojedynkę rzuca się w zwarte ławy janczarów

*Kozactwo pret’ sia bez waby –
I pokotyłys’ janyczary...***

* Jahotyń to majątek księżnej Warwary Riepninej, w którym gościł Szewczenko wraz z innymi artystami (przyp. tłum.).

** Górą siła kozacza!

Legły trupem janczary...

(tłum. Władysława Syrokomli).

Chodzi nie tylko o jedwabie i kobierce. Chodzi również o misję historyczną.

6

Tu w naszej karkołomnej opowieści pojawia się rzeka. Płynie przez ogromne przestrzenie ukraińskich pieśni i zwie się Dunajem. Ale właściwie dlaczego Dunaj, a nie, powiedzmy, Dniepr? Hruszewski twierdził, że to ślady pamięci o czarnomorsko-dunajskim przedkijowskim okresie naszej prehistorii.

Widzę w tym coś innego. To pojmowanie Europy jako raju utraconego. *Dunaju, Dunaju, czemu smutny płyniesz*, – pyta najstarsza z zapisanych ukraińskich pieśni, ale i w najnowszych pieśniach aż nazbyt często dźwięczy pragnienie: „pójść za Dunaj”.

Na brzegach tej rzeki w 1683 roku, dwadzieścia lat po opisanej przez Rilkego pięknej śmierci korneta, miało miejsce wydarzenie, które położyło kres azjatyckim inwazjom na Zachód – a mianowicie bitwa pod Wiedniem. Europejskie siły wolnych rycerzy pokonały trzystutysięczną sułtańską armię niewolników.

W dzisiejszej Europie pełno jest Turków. Zamiatają ulice, czyszczą buty, handlują mięsem. To także skutki bitwy pod Wiedniem.

W której zginął również śmiercią walecznych pewien Stanisław, hrabia Potocki, rówieśnik korneta Rilke. Kiedyś moje miasto nosiło jego imię. Później odebrano mu je, najwidoczniej ze względu na swoistą historyczną nieślubność. Tym samym jednak zepchnięto w niepamięć nie tylko jego – hrabiego Potockiego, bohatera bitwy pod

Wiedniem, ale i setki ukraińskich rycerzy, kozaków, którzy walczyli na tym polu chwały ramię w ramię z nim i, jak on, nie powrócili. Tak sprofanowano nie tylko naszą europejskość, ale i samo wspomnienie o naszej niegdysiejszej europejskości. Tak wypływał Dunaj z naszych pieśni.

7

Tragizm i niemożność jakiegokolwiek zmiany w zaczarowanym kole istnienia jest najbardziej ogólnym podsumowaniem tej wypowiedzi. Ukraińska tradycja najczęściej przynosi zabójczy finał miłosno-śmiertelnej walki. Rycerz rezygnuje z miłości w imię bitwy i śmierci. Więcej nawet, obiekt miłosnego pożądania – Panna – znajduje się już poza tekstem, w jakichś niewidocznych nawiasach i przypisach. Na powierzchni pozostaje jedynie on – kozak, rycerz. Nie wiemy, jaki kolor oczu i włosów, czy też jaki kształt bioder miała jego ukochana. Nie wiemy również, czy było to uczucie odwzajemnione. Wiemy jedno: istnieje fatum, od którego uratować może jedynie czarny demon bezlitosnym cięciem miecza w dalekich obcych stronach.

*Piszow kozak sumujuczy,
Nikoho ne kynuw;
Szukaw doli w czuzim poli
Ta tam i zabynuw.*

*Umyrajuczy, dywynsia,
De soneczko siaje...*

Tiażko-ważko umyraty
*U czużomu kraju!**

to Szewczenko.

A to – Huizinga: „Uzewnętrzniecie i spełnienie pożądania zdaje się być niemożliwe i nieosiągalne, toteż zostaje ono zastąpione i zrekompensovane przez bohaterski czyn wyrastający z miłości. Tym samym śmierć staje się niejako alternatywą spełnienia pragnień, zaspokojenie zaś zostaje zapewnione, umożliwiając uwolnienie obu stron”.

Śmierć, kończąca napięcie, przecinająca najbardziej zawikłane węzły, śmierć-wyzwolicielka, śmierć, przynosząca wieczny odpoczynek wydziobywanym oczom i zbiełałym kościom – oto najczęstszy motyw ukraińskiego romansu rycerskiego.

Nowożytna literatura ukraińska uparcie ponawia próby wytworzenia wmiast fatalistyczno-tragicznego obrazu rycerza obraz witalno-wolicjonalny, obraz zwycięski. W znacznej mierze w tym kierunku szły poszukiwania Mykoły Chwyłowego. W poezji obraz ten kultywuje „praska szkoła”; Jewhen Małaniuk, Ołeh Olżycz, Jurij Darahan, Łeonyd Mosendz, Jurij Łypa kierują naszą uwagę w stronę bohatera raczej skandynawskiego typu

* Odszedł kozak w smutku,
Nikogo nie rzucił.
Szukał szczęścia-doli hen-daleko
I tam też zaginął.
Umierając zaś spoglądał,
Skąd słońeczko świeci...
Ciężko, trudno tak umierać
W tej dalekiej stronie.

(przekład filologiczny. Poetycki przekład *Dumki* nie istnieje).

czy, jak u Olżycza – gockiego. Niemniej jednak motyw „wspaniałej śmierci” pozostaje:

*To ja ta witer w dykim poli,
Otrujni stryły, sahajdak, –
Takym micnym solodkym bolem
Napownyt' jich smertel'nyj znak!..*

*Komu, odnakowo, ciłunky,
Udary, rany i wyno!..
W-odno – husti czerwoni trunky,
Ta kin', ta ruku na stebno!*

*Tak pyszno wmerty, jasno żyty!
Os' biłyj lebid' – vse wpered...
I raptom strilamy proszytyj
Pade w zelenyj oczeret,* –*

tak pisał Jurij Darahan, dowódca elitarniej sotni strzelców ukraińskiej armii w latach 1917-1920.

* To ja i wiatr w dzikim polu,
Zatrute strzały i sajdak, –
Takim silnym słodkim bólem
Wypełni ich śmiertelny znak!..
Komuś jednako – pocałunki
Razy, rany czy też wino!..
To samo – ciemnoczerwone trunki,
I koń, i rękę na biodro!
Wspaniale umrzeć, jasno żyć!
Biały łabędź – ten wciąż naprzód...
I raptem, strzałami przeszyty
Spadnie w zieloną trzcinę.

(przekład filologiczny).

Bo to nie tylko śmierć, ale i najwyższe życiowe napięcie, wzlot całej siły w jednym oddechu, wyrastanie skrzydeł. To wielkie misterium miłości i śmierci, przedstawienie z udziałem bohaterów nie tylko mitycznych musi podobać się Widzowi.

Wielki Smok Wschodu, ogniem ziejący smok wciąż jeszcze nie oddał branki. Wyzwalanie Panny musi trwać, nie ma ono końca. W tym zawiera się nasza przyszłość, jeżeli tylko użycie tak odpowiedzialnego słowa nie jest zbyt wielkim zuchwalstwem.

przełożyła Ola Hnatiuk

Wstęp do geografii

Wyspa Kaukaz, leżąca między Indiami i Scyтіą jest najwyższą górzystą wyspą świata. Stamtąd doktor Faustus przyglądał się różnym ziemiom i wpatrywał się w morską dal. Rośnie tam tyle drzew pieprzowych, ile u nas jałowca.

Historia doktora Johanna Fausta,
XVI wiek

I

Stara willa z początku stulecia w bawarsko-karpackim stylu (nie wiem, czy styl ten rzeczywiście istnieje, zapewne nie, uznajmy więc, że znów moje pobożne życzenia wzięłem za rzeczywistość), pokryta rudawą dachówką, ściany częściowo kamienne, białe, częściowo z czarnego drewna, kilka ganeczków, wielopiętrowe piwnice przypominające średniowieczne katakumby, a jednak z jak najbardziej nowoczesnym wyposażeniem i, rzecz jasna, wieża, w której znajduje się tajemniczy osobny pokój przeznaczony do pisania arcydzieł. Powiedzmy, powieści gotyckich. Albo metafizycznych elegii.

Otacza ją niezbyt gęsty, ale za to niezwykle park, który nawet zimą, przykryty śniegiem pozostawia silne południowe wrażenie – tyle tu wiecznie zielonej roślinności.

Później okazuje się, że willę wzniesiono na wzgórzu. Z tarasu, w kącie którego zimują opatulone w worki rzeźby ogrodowo-parkowe, można podziwiać Jezioro

Starnberskie, wspomniane w *Ziemi jałowej* Eliota oraz jego drugi brzeg z kilkoma myśliwskimi zameczkami, jaśniejącymi na tle ciemnej plecionki styczniewego bawarskiego lasu. Absolutna cisza.

Mam pokój na drugim piętrze, pod wspomnianą wieżą. Moje okna wychodzą na sosny w parku, na stromy brzeg jeziora, dalej widać już samo jezioro i Alpy (czasem wcale ich nie ma – rozplywają się w mglistej pustce), które stają się coraz wyższe, a dalej zaczynają się inne kultury, ziemie, przełęcz, inna roślinność, krajobraz, języki, napitki, potem już są Włochy, w stronę których z tęsknotą spogląda każdy porządny Bawarczyk. Moje okna wychodzą więc na południe.

Pokój ten zamieszkuje drewniana kobieta. Z mieczem i Biblią w ręku stoi na straży mego snu u wezgłowia łóżka. Cóż, pewnego pięknego poranka mogę obudzić się bez głowy. Dlatego staram się jej przypodobać. To chyba święta Barbara. A niegdyś napisałem wiersz do pewnej Barbary, przy czym jej imię rymowało się z „poczwarą”. I po co mi to było?

À propos wierszy. Nie dalej jak miesiąc temu, w brudnym przednoworocznym Stanisławowie z ohydnyymi deszczami, krukami i kolejkami po wódkę wymyśliłem sam o sobie taki wiersz:

*Patriarcha nie może żyć w niewoli
Patriarcha musi mieszkać w Tyrolu.*

No i proszę... Nie zastanowisz się, wymyślnie ci się coś w przystępie zadowolenia z siebie i nagle się urzeczywistnia. Niemal urzeczywistnia, bo znalazłem się niezupełnie w Tyrolu, ale w jego pobliżu – przedgórze Alp, Górna

Bawaria, co wydaje się rzeczą nie mniej fantastyczną. Dobry poeta musi być prorokiem, nieprawdą?

A jednak przez kilka dni nie opuszczało mnie wrażenie, że wszystko, co mnie tu otacza jest trochę nierzeczywiste. I ta absolutna, nieruchoma cisza, ten styczniowy spokój podalpejskiego miasteczka z jego zaledwie czterema tysiącami mieszkańców, z jego zwolnionym, wewnętrznym rytmem, wyznaczanym jedynie przez przyjazdy i odjazdy pociągów podmiejskich do Monachium.

I ta irrealna willa na wzgórzu, w głębi parku. Jak przystało na willę, nosi ona żeńskie imię – „Waldberta”. Leśna Berta. Berta z lasu. Berta lasów. (To niewidzialny trubadur Bertran de Borne brzmi gdzieś nade mną.)

Na niczym nie mogę się skoncentrować. Taka absolutna jest ta cisza. A za nią – niezawodne działające mechanizmy, drzwi zamykają się automatycznie, cichutkie szcęknięcie zamków i pstrykanie kontaktów, rytmiczne pulsowanie gorącej i zimnej wody w rurach, te przypływy i odpływy na zamówienie. W willi jest mnóstwo pokoi, stare zwierciadła w marmurze, kręte drewniane schody, porcelanowe talerze w kredensach, król bawarski Ludwik Pierwszy w skali 1:10 pędzi na koniu w dal.

Nie mogę się skoncentrować, słucham po prostu. Wsłuchuję się w te przyciszone dźwięki, niezawodne potrzaskiwanie i postukiwanie, rytmiczne wydzwanianie na tle Wielkiej Styczniowej Ciszy. Zmrok zapada już o szóstej wieczór. Boję się coś naruszyć w tym systemie. Jednym niezręcznym ruchem homo sovieticus zniszczyć tysiącletnie zdobycze starej Europy: delikatność i niezawodność wszystkich mechanizmów jej funkcjonowania.

Oczywiście nie mieszkam tu sam. To taki przytułek dla pisarzy. Ta cisza powinna pobudzać. Powinny rodzić się tu metafory i parable. To miejsce, w którym wreszcie znaleziono jaki taki kompromis między artystą i społeczeństwem, tymi potworami toczącymi ze sobą śmiertelną walkę. Społeczeństwo jest cholernie bogate. Może sobie pozwolić na taki luksus i dać ci pokój na drugim piętrze willi „Waldberta”. Wraz z panoramą Alp, sosnami, wiecznie zielonymi krzewami i oknami na Włochy. Wraz z tą ciszą i harmonią. Myśl, pisz, oglądaj sobie wieloodcinkowe filmy o Europie, pij wino. Nikt od ciebie niczego nie wymaga. Nie musisz nikomu się odwdzięczać ani pisać pochwalnych poematów. Jedna tylko prośba: po pijaku nie rozbij porcelanowych talerzy w kredensie. Bo wy, poeci ze Wschodu, czasem lubicie wyciąć jakiś numer w tym stylu.

Budynek ten znajduje się niestety w Feldafing, Górna Bawaria, Niemcy. Nie, nie w Worochcie i nie w Kosowie. A mógłby. Gdyby nieco inaczej wyglądały zakręty historii. Zresztą po co te bezpłodne rozważania? Przecież nie chodzi o to, czy Alpy piękniejsze są od Karpat...

Moje oględziny willi aż do najdalszych jej zakamarków trwały około dwóch godzin. Czułem się zupełnie tak, jak mógłby się czuć młody władca książęcej krwi, który w przededniu koronacji ogląda własne lilipucie państewko. Z odnotowywaniem w pamięci miłych szczegółów topograficznych: tereny łowieckie, młyn, klasztorna winiarnia, burdel dla przyjezdnych... I wszystko to jutro do ciebie będzie należeć. Przyszłość wygląda niezmiernie optymistycznie. Odłożyłem sobie na jutro, czyli na najbliższe trzy miesiące całe mnóstwo rzeczy: wieżę, taras,

niemieckie księgi w kunsztownej oprawie, chłodne wino, grzane wino, krzewy mirtu, parkowy żwir, skrzypiące schody, styczniową powierzchnię jeziora i rozkład jazdy pociągów podmiejskich do Monachium...

Potem wyszedłem obejrzeć miasteczko, automatycznie poszerzając i o nie granice mojego – na trzy miesiące – lilipuciego państewka. Odnotowałem w myśli, że moi poddani żyją całkiem nieźle, otoczeni się zewsząd pewną formalną doskonałością. Kultura ogrodu i kultura ogrodzenia, jak i kultura balkonów, dachów, ganków, drzwi, ptasich gniazd, kominów – wszystkie te z osobna wzięte kultury były zdumiewające przez swoją absolutną wierność stylowi. Ekumenizm dawał znać o sobie bezpośrednim sąsiedztwem kościoła katolickiego i luterańskiego. Tęsknotę za Włochami, *Sehnsucht nach Süden*, można było odczytać w nieco kiczowatych, ale przez to szczerych naściennych malowidłach, przedstawiających najczęściej sceny z Ewangelii lub z żywotów świętych (ach, ci bawarscy święci, znani wyłącznie w Bawarii!). To było tzw. *Luftmalerei* (malarstwo na świeżym powietrzu), którym każdy miejscowy mieszkaniec, świadom własnej unikalności, pragnie przyozdobić swój dom.

Zgodziłem się władać taką krainą.

Pierwszy wers powstał sam z siebie: *W Bawarii zima jest powolna*. Można było napisać wiersz, który urósłby do cyklu, który z kolei rozrósłby się do wielkości tomiku. Nie zrobiłem tego ze względu na banalność sytuacji. A jednak wers jeszcze kilka dni mi towarzyszył, od czasu do czasu napomykając od wewnątrz o możliwości kontynuowania wątku.

W Bawarii zima jest łagodna.
W Bawarii zima jest pogodna.
W Bawarii zima jest podobna...

Ten ostatni wariant najbardziej nęcił koniecznością przerzucenia potoku słów do następnego wersu. W tym też miejscu zaciąłem się definitywnie. Pewne wiersze nie mają prawa być napisane. Trzeba je przemilczeć – niech pozostaną wiecznym bólem.

Zima skończyła się zresztą gdzieś po tygodniu i zacząłem się już nie na żarty martwić, co zrobię ze swoim anachronicznym paltem na tle tej świeżej (wiecznej?) zieleni parku. Potem jednakże zima wracała nie raz i na długo, bo przecież od południa były Alpy, zima spadała obfitym, bożonarodzeniowym wręcz śniegiem w lutym i w marcu. Nawet w kwietniu, na katolicką Wielkanoc, sypnęło kilkoma sporymi garściami śniegu, które wiatr przywiał gdzieś z okolic Mittenwaldu czy też z pasma Karwendel, nie wiem.

Bliskość gór ma wpływ na wiele rzeczy. Chodzi nie tylko o nazwy geograficzne, choć i o nich nie należy zapominać. Koczownik (nie powiem „zdobywca”) instynktownie unika historyzmu. Nazwać krainę „Galicją” oznacza dlań uznanie, że ktoś tu już przed nim był. Był w sensie istnienia, nie przebywania. Wygodniej mu więc powiedzieć, że wszystko to „Przykarpacie”. Ta nazwa do niczego nie zobowiązuje, bo jest zwykłą konstatacją faktu geograficznego. Przy czym ze wschodniego punktu widzenia, bo z europejskiego punktu widzenia znajdujemy się za Karpatami, czyli terytorium to winno się nazywać „Zakarpaciem”.

Jaką nazwę wymyśliłby domniemany „koczownik” dla Bawarii? Jaki ekwiwalent znalazłby dla niej? „Przyalpie”? Może. Ale czy przekonałby do niej wszystkich moich tymczasowych poddanych?

Zwróciłem uwagę na to, jak oni kochają siebie samych. Zaczyna się to od kapeluszy i getrów, a kończy się na Rilkiem i Wagnerze. A między tymi biegunami miłości istnieje jeszcze całe mnóstwo innych wartości, jak na przykład Święte Imperium Rzymskie, winorośl, piwo, orkiestry dęte, *Carmina Burana*, porcelana z Nimfenburgu, łabędzie królestwo Ludwika Drugiego, jeszcze raz piwo, dużo piwa, piwo i barok, i tysiąc kawiarni, i w końcu wszechobecne jak powietrze „Grüss Gott” – „Chwal Pana”, coś w rodzaju naszego „sława Jsu!”

Bliskość gór decyduje niemal o wszystkim.

2

Europejczyka (no i proszę, dokąd mnie ciągnie) stworzyły góry i lasy.

Natura podpowiedziała, że byt winien zdążać ku dyskretności, różnorodności i formalnej doskonałości. Góry pokryte lasem – taki krajobraz był żywym wciele-
niem wyliczonych powyżej czynników. Uczył harmonijnego współistnienia z Kamieniem i z Rośliną.

Wędrowni kaznodzieje, rycerze, akrobaci i komiwojażerzy – ten ruchliwy ferment pocztylionów Starego Świata – swój codzienny szlak mierzyli pokonanymi górami i przeciętymi leśnymi ścieżkami. Krajobraz wymagał starań. W stepie nie udałoby się tyle przejść.

Zanurzysz się w gęstwinę Czarnego Lasu gdzieś w pobliżu powiedzmy, Tyśmienicy, samotny podróżnik mógł już nigdy się z niej nie wynurzyć. Czy też wynurzyć się, powiedzmy, aż w południowoniemieckim Schwarzwaldzie (co zresztą w tłumaczeniu brzmi również „Czarny Las”). Stara Europa była jednym wielkim lasem ze świątyniami i koszmarami. Zapewne to właśnie ją uratowało. Koczowników Wielkiego Stepu mógł ten ocean rzeczywiście odstraszyć.

Ograniczenie krajobrazu zmuszało do tego, by dbać o każdą piędź ziemi. Kiedy masz do dyspozycji Wielką Nicość, czyli gołą równinę, po której możesz mknąć choćby dziesięć tygodni i nic się nie zmieni, zaczynasz wierzyć w daremność wszelkich wysiłków, w całkowitą bezsilność człowieka. Pozostaje więc jedynie pędzić z dzikim świstem w kilkusettyśmiej masie takich jak ty pozbawionych osobowości jednostek, palić i niszczyć, składać krwawe ofiary swoim niepojętym bogom. I rozwieje się twój popiół po spustoszonej równinie – bo przecież wszystko jedno!

Jeśli zaś otaczają cię zielone zbocza i doliny, zaczynasz wierzyć w to, co trwa. Pojawia się pojęcie domu. Jest taki i tylko taki, jest tutaj.

Europejczyka stworzyła dziedziczność.

Przychodzisz na świat w otoczeniu wież i ogrodów, liczących wiele stuleci. Nie jesteś w stanie niczym tu zaszkodzić – nawet gdybyś bardzo tego chciał. Choć ta architektura to podpatrzony krajobraz, jej twórcy są nam znani. To zwycięstwo nad *vanitas vanitatum*; owe wyznaczniki stałości i stopniowości znamionują pewne wartości

absolutne, do których należy człowiek, jego osobowość, odrębna, jedyna i niepowtarzalna.

Komunistyczny reżym z woli historii (czy rzeczywiście historii?) mógł zapanować nad Polakami, Czechami, Węgrami. Ale w tych krajach zawsze odbierano go jako coś tymczasowego, jako absurdalne nieporozumienie. Na tyle nie pasował do ich rynków, placów, katedr, dzwonnicy, parków i ogrodów, na ile nie pasował do ludzi, którzy wśród tych rynków, placów, katedr, dzwonnicy, parków i ogrodów wyrosli. A jeśli reżym nie pasuje do ludzi, to prędzej czy później musi zostać obalony.

Europejskie miasta wznoszone były przez wielkie indywidualności, będące jednocześnie sługami Bożymi i panami nad formą. O pionowej osi, o tym spojrzeniu z góry pamiętano tu zawsze. Właściwie budowano tak, by zadowolić najbardziej wyszukany gust Niebiańskiego Widza. W tym roku przeżyłem całą serię takich widoków. Oglądałem karnawał w Monachium z wieży Świętego Petera, niewiarygodną Florencję z dzwonnicy katedry Santa Maria del Fiore (Święta Maria Kwiatów – coś jak „Berta lasów”); przygraniczne bawarskie miasto Passau, rezydencję biskupów oglądałem ze skalistego urwiska w okolicy Górnego Zamku, dokładnie nad miejscem, w którym łączą się w jedną trzy rzeki Passau – Ilz, Inn i Dunaj, każda z nich miała inny kolor, najbardziej jednak zaintrygował mnie Dunaj – był nie operetkowo modry, jak obiecywano w przewodnikach, a ołowiany – bohater staroukraińskiej poezji; później miałem jeszcze okazję ujrzeć Lublin ze wzniesienia, na którym położona jest tamtejsza Starówka, na deser zaś przygotowałem sobie

Lwów – do powrotów tam mam słabość – co prawda tym razem widok był dość specyficzny – siódme piętro hotelu „Lwów”, z którego okien odkryłem całkiem włoski kompleks architektoniczny wokół Wysokiego Zamku.

I oto, kiedy to się staje, kiedy tam, w dole leży to miasto – miniaturowe skupisko dachów, balustrad, uliczek, placów, to ciągle trzepotanie chorągiewek na wieżach i rozwieszonej bielizny w podwórzach, zaczynasz kochać cały świat. Z całego serca, ostro i boleśnie. Widzisz, jak o n o się rusza, biegnie, leci, śpiewa, kocha. Poznajesz tę ogromną Pracę Bytu. Czasem widzisz wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, całą tę materię – każdego anioła nad bramą, każdą doniczkę w oknie, każdą żyłkę w listku. Przebywasz tam, ze wszystkimi, ale niewidoczny dla nich i tutaj, sam w sobie. Coś podobnego może przeżywać i On, kiedy z góry spogląda na ludzkość.

Do czego zmierzam? Za wszelkimi tego rodzaju „na poły mistycznymi” nastrojami stoi tylko krajobraz. Góry. Lasy. Wieże. Ogrody.

A jednak jakże silnie wpływa nań język! Na ile zależny jest od kultury! Stopniowa zmiana pejzażu południowo-niemieckiego na północnowłoski stanowiła dla mnie znacznie ważniejsze świadectwo podróży, niż kontrola graniczna, której właściwie nie było. Przecież w ciągu dwu-trzech godzin przemieściłem się do innej kultury – z niemieckiej do włoskiej, więcej – do innej rodziny języków – z germańskiej do romańskiej, do innej poezji, innej melodyki języka, innej mentalności wreszcie. Przejście z kultury do kultury, od języka do języka odbywało się prawie niezauważalnie, przez przejściowy tyrolski pas

z zamkami rozbójników na skalistych szczytach i dwujęzycznymi napisami na drogowskazach.

Ocknąłem się tuż przed Weroną: to była już zupełnie inna ziemia. Pejzaż stał się nieodwracalnie włoski. Przypominał nieuchwytność przejścia od dur do mol i odwrotnie w koncertach Vivaldiego, coś na kształt *ze smutkiem radość się objęła*. Niemiecka estetyka schludności, zadbania, czystości i pewnego dobrobytu, bujna w swoim zdyscyplinowaniu, oddała pole estetyce ruin. Ten wspaniały rozgardiasz, te niesamowicie odrapane mury i wybujala zielen, dziko wyrastająca z nich (początek marca, moi państwo), te przejawiające się na każdym kroku spazmatyczne objęcia Życia i Śmierci – to w żadnym razie nie chaos. To Włochy, karnawałowy wariant europejskiego krajobrazu. Życie po włosku. Śmierć po włosku. Dlaczego mają aż taki fart, Boże? – pytałem z istic barbarzyńską wschodnią zazdrością, nie mogąc stłumić w sobie jakiejś tam jednej szesnastej krwi.

Po Niemczech, wyglansowanych jak na wystawie, mogło się to wydać całkowitym nieładem, powtarzam. Jednakże jeśli nawet był to bezład, to co najmniej o takiej doskonałości formy, jak bawarski ład. A więc nie był to bezład, nie, raczej coś zupełnie innego – Wielkie Dzieło. Genialna stylizacja, maksymalne zorganizowanie formy na nieuchwytniej granicy z bezforemnością, estetyka ruin, jak raz już to umownie nazwałem. Bacha zamienił Vivaldi, Haendla – Pergolezi. To był cmentarz, na którym wszyscy chętni mają prawo się kochać. I nikt im nigdy z tego powodu nie uczyni wyrzutu. Było to poczucie *dolce vita*, które nie opuszcza cię ani na chwilę.

Z gór i lasów można tworzyć najróżniejsze kombinacje: niemiecką – „uporządkowaną”, włoską – „chaotyczną”, francuską – „lekkomyślną”. Jakie jeszcze? Hiszpańską o posmaku krwi? Bałkańską? Karpacką? Skandynawską?

Wyczucie formy, a ściślej rzecz biorąc – jego brak – oto przyczyna wszelkich naszych nieszczęść. Nie umiemy i nie chcemy uczynić z życia dzieła sztuki. Ubóstwo nasze nie stanowi usprawiedliwienia ani też wyjaśnienia, jest raczej skutkiem. Nie umiemy współistnieć z ptakami, kwiatami i posągami. Nasze pomniki przypominają złe i krwiożercze bóstwa, a wybrani przez nas przywódcy – kryminalistów i niegodziwców. Budynki, ogrody, place (że nie wymienię już fabryk, dworców i lotnisk) dotknięte są ciężkim grzechem – brakiem formy. Wszystko to, co może przyciągnąć nasz wzrok – nie myśmy pozostawili, ale myśmy zaniedbali i sprofanowali.

Nie możemy mieć dobrego wzornictwa, bo dobre wzornictwo to też dziedziczność, ciąg dalszy krajobrazu.

Nie możemy mieć dobrego teatru, kina, cyrku. Jak i wielu innych rzeczy, które wymagają ogromnej dbałości o formę. Zawsze nam przecież mówiono, że forma jest bez znaczenia. À propos, jakże mało mamy poetów, którzy potrafią znajdować rymy dokładne a zarazem bogate! Bo nie lubimy swego języka. Kiepska wymowa, zła intonacja. Nasi aktorzy brzmią fałszywie od pierwszego dźwięku. Wydobywa się z nas bulgot zamiast słów – niezrozumiałe mamrotanie, w którym brak choćby jednej żywszej struny.

Brak formy to zezwierzęcie. To wieczna szarość istnienia, od której można uciec tylko przez pętlę wisielca. Pejzaż za oknem wagonu znakomicie uzupełnia smród,

chamstwo i tłok panujący w wagonie. Wnętrze hali fabrycznej dokładnie odpowiada wszechwładnemu idio-tyzmowi w produkcji. Całkowita dewastacja środowiska wskazuje wyraźnie na to, że nie potrafimy poradzić sobie z krajobrazem i przekształca się w samounicestwienie.

Jak i dlaczego tak się stało? Na tle rażącego braku formy tworzymy nowy mit – chęłpimy się swoją europejskością, przytaczamy jakieś rasowe, antropologiczne i geograficzne argumenty, sięgamy w głąb historii – do Trypolskiej kultury, do kultury Scytów, do pogaństwa, albo na odwrót – do chrześcijaństwa, odliczając całe tysiąclecia, pokazujemy pisanki albo huculskiego konika z sera. Tak, owo wyczucie formy niegdyś istniało. Niegdyś.

Może przyczyna leży w braku naturalnej granicy obronnej ze Wschodem? Może w tym, że Bóg dał nam za mało gór i lasów? Wież i ogrodów?

3

– A skądżeś ty się tam wziął, mądralo? – zapytacie.

Wizę do Niemiec podpisał mi Rainer Maria Rilke.

Uchowaj Boże, bym tą uwagą przyrównał go do urzędniczyny z departamentu wizowego. Mam tu na myśli zupełnie inną wizę. Do zupełnie innych Niemiec.

Będąc gościem Monachium i willi „Waldberta”, dość często byłem przedstawiany jako tłumacz Rilkego. W rzeczywistości sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana: ogromnie lubię tego poetę i zarazem nie pojmuję jego najbardziej uznawanych dokonań. Zawsze pociągał mnie inny Rilke – ten, którego zwykle traktowano z pewnym

lekceważeniem. Niedoceniony i właściwie rzecz ujmując prawie ignorowany wczesny Rilke, Protorilke, Rilke lat dziewięćdziesiątych, Rilke-student, Rilke z cyganerii praskiej i monachijskiej. Ten, o którym zazwyczaj mówi się „jeszcze nie-Rilke”.

W wieku lat dwudziestu dwu w wolnych chwilach (które stanowiły wtedy trzy czwarte danego mi przez Lwów czasu) przetłumaczyłem kilka jego wczesnych wierszy, kierując się rzeczami rozpoznawanymi. Na przykład widokami starej Pragi, w której podówczas zdążyłem być już trzy razy. Można przypuszczać, że w moich przekładach więcej było zachwytu Pragą, aniżeli samą poezją Rilkego. Lecz mimo to moje ówczesne próby niektórzy chwalili. Pospieszyłem więc z propozycją do redakcji *Wseswitu** – nie minęło nawet dziesięć lat, kiedy się ukazały. By oddać sprawiedliwość, muszę przyznać, że te niecałe dziesięć lat redakcyjnego leżakowania korzystnie wpłynęło na moje przekłady – niejednokrotnie wracałem do nich, poprawiałem, czyściłem, wzbogacałem, przerabiałem syntagmy i sylaby, jednym słowem znęcałem się, jak mogłem, dopóki definitywnie nie pokochałem tej poezji. Lecz tym razem już niezależnie od sentymentu do Pragi. Za każdym razem zdawało mi się, że już osiągnąłem pewną doskonałość, ale po roku czy dwóch okazywało się, że nie, że perfekcji nie osiągnę, a szlifowanie nie zna granic, i to naprowadza na dość ryzykowną myśl, że gdyby owe wiersze „jeszcze nie-Rilkego” w moich przekładach nie zostały opublikowane przez *Wseswit*, to być może doskonaliby się do tej pory.

* *Wseswit* – ukraińskie czasopismo prezentujące literaturę światową (przyp. tłum.).

Spóźniłem się gdzieś o tydzień. Monachijska cyganeria artystyczna i elita intelektualna właśnie zakończyła serię imprez pod ogólnym hasłem „Rilke come back”. Działo się to wszystko w zadymionych knajpach robotniczo-artystycznego przedmieścia Monachium Pasing, które codziennie mijałem, jadąc pociągiem podmiejskim i gdzie, jak mi się zdaje, Rilke mieszkał w latach dziewięćdziesiątych. Imprezy, z angielską nazwą włącznie bardziej przypominały uczczenie pamięci zmarłej na AIDS gwiazdy rocka, niż najbardziej wyrafinowanego poety początku dwudziestego wieku i to, jak mi się wydaje, najlepiej świadczy o tym, że „Rilke forever!”

Spóźniłem się, ale nie zrezygnowałem z *Korneta*. Zresztą w czym willa „Waldberta” jest gorsza od zamku w Duino? Od wieży Muzot? Tylko tym, że chorowici książęta i księżniczki nie zajmują się tu seansami spirytystycznymi? W takim razie ja sam się tym zajmę.

Postanowiłem wypróbować przestrzeń mojego pokoju. Jak się w nim będzie pisać? I o czym? Pod względem materialnym wszystko doprowadzono do perfekcji. Elektroniczna maszyna do pisania z pamięcią, sama czcionka mogła doprowadzić do milczącej ekstazy, mnóstwo różnokolorowych cienkopisów, okna na południe, z Włochami i sosnami, dwie okazałe paczki białego pachnącego papieru. Doskonale wyposażenie do ucieczki – pozostawało jedynie wyruszyć w przeciąg o zmierzchu, w ślad za Rilke, ponad przepaściami jego języka, świadomie podniosłego, balladowego, rytmizowanego i sztucznego, romantycznego, jednym słowem – niemieckiego. Wszystkie rzeczowniki do tej pory pisze się w tym języku z dużej litery, bo są to n a z w y – rzeczy, roślin, ludzi, miast,

napitków. Może dlatego tak wiele słów z dużej litery zakrada się tu, w moje ukraińskie notatki...

„Będą sobie dobierać wzajemnie setki różnych imion – dobierać, odejmować, cicho i powoli, jak zdejmuje się z ucha kolczyk”*

4

Czegoś podobnego – ucieczki w średniowiecze z jego zamkami i wieżami – dokonał swego czasu król Bawarii, Ludwik Drugi. Dysponował jako król chyba najgorszym dla monarchów czasem – druga połowa tępego i pozabawionego polotu, zanurzonego w materializmie i pozytywizmie XIX wieku. Porzucił swój czas.

Najpierw oddalił się do leśnej samotni, zbudował dla siebie kilka zamków wśród alpejskiej głuszy.

Później – ucieczki w śmierć (w wieczność?), w wieku czterdziestu jeden lat rzucając się w głębiny Jeziora Sztarnberskiego. Istnieje także wersja, że został utopiony. Inna wersja mówi, że był niespełna rozumu. Jako dowód przytacza się bezgraniczny zachwyty, konsekwentną i w jakiejś mierze wręcz natrętną opiekę nad kompozytorem Wagnerem i całym ordynkiem bohaterów jego oper, nad wszystkimi tymi tristanami i izoldami. Zaiste, najgłośniejsze Wagnerowskie premiery miały miejsce w Monachium.

Bał się natomiast żywych ludzi. Bał się radców i dyplomatów, bankierów i przemysłowców. Może i miał w tym swoją rację. Olśniony degenerat, stał się sztandarem dla późnych dekadentów. Maeterlinck poświęcił

* Tu i dalej cytaty z Rilke w tłumaczeniu Adama Włodka.

mu chyba jakąś swoją rzecz. Dziś przedstawia się go na kolorowych pocztówkach i etykietkach od piwa. Jego zamki są ucieleśnieniem szaleńczych urojeń i kiczu – Lindenhoff, Neuschwanstein, te eklektyczne dziwadła z ogrzewaniem wodnym, przynoszą bawarskiemu skarbowi znaczne dochody z turystyki – przeważnie z kieszeni głupawych Amerykańców, upatrujących właśnie w zamkach Ludwika prawdziwego „ducha Europy” i w ten sposób zadowolających swój jakby płciowy pociąg do niej.

Nazywają go Łabędzim Królem. Ten symbol zdegenerowanej i wymierającej arystokracji stał się znakiem towarowym bawarskiego dobrobytu.

Jaki sens ma tu zresztą moje patetyczne oskarżenie? I kto mi dał do niego prawo? Czyżbym zapomniał o karnawale, o tym wiecznym odrodzeniu? O tym nieustającym żonglowaniu istotą rzeczy?

Widziałem go podczas karnawału, był tam maską!..

5

Z karnawałem mam do czynienia o tyle, że jestem Patriarchą Bu-Ba-Bu. To znaczy czasem nim bywam – przywdziewając purpurową togę i koronę ze srebrnej folii, trochę błazeńską, a trochę monarszą. Dziwna to w ogóle postać – na poły świecka, na poły duchowna, na poły pijana.

Do Bawarii przybyłem w porę – w samym szczycie karnawałowych zapustów – *Faschingu*. To najdłuższy karnawał roku, nieprzerwane pasmo zabaw i pijatyki, trwających ponad dwa miesiące – aż do Wielkiego Postu.

Co się rzucało w oczy przede wszystkim?

Ilość przechodniów-Monachijczyków z włosami ufarbowanymi na zielono albo czerwono wzrastała z każdą godziną mojego pobytu. Wśród tych szmaragdowo-purpurowych najad nawet siedemdziesięcioletnie babszony nie stanowiły zbyt wielkiej rzadkości. Zimowe drzewa obsypane były latarenkami. Wieczorem pociągami podmiejskimi podróżowali Maurowie, Pajace; chóry Anielic w stylu punk przefruwały z jednej knajpy do drugiej, w ślad za Diablami i Rzymskimi Legionistami. Poza tym ogólna atmosfera była dość spokojna, w żadnym razie nie kryminogenna i właśnie dlatego, według mnie, niezupełnie świąteczna. Cała moja nadzieja w Wenecji, myślałem, w której, tak jak w reszcie Starej Europy (w Awinionie, Cartagenie i Antwerpii) miało miejsce coś podobnego i gdzie, w odróżnieniu od grzęznącego w porządku i dobrobycie Monachium, krew powinna we mnie zawrzeć choćby dlatego, że w tamtych stronach przyjęte jest chodzenie ze sztyletem i strzelanie w niebo ze stingerów. Całe dywizje płatnych zabójców i zazdrosnych mścicieli, okutanych w płaszcze, ze szpadami i w maskach myszkują w poszukiwaniu potencjalnych ofiar w jednym tylko celu – by raz na zawsze ich rozweselone karnawałowe ciała wrzucić na dno smrodliwych i romantycznych kanałów.

Wybiegając trochę naprzód, powiem, że nie zdążyłem złapać weneckiego karnawałowego pochodu nawet za ogon – kiedy wreszcie znalazłem się w tym irrealnym mieście, minęło już całe trzy dni, jak wszystko się skończyło i zaczął się Wielki Post. Dzięki temu udało mi się coś niecoś zobaczyć – z bazyliką św. Marka i Hospitale

della Pieta włącznie i, co najważniejsze, odczuć całym sobą tę tajemniczą wilgoć miniaturowych ogrodów w podworcach klasztorów i pałacyków (początek marca, moi państwo!).

Chcę przez to powiedzieć, że karnawał wenecki na swój sposób wciąż trwał, nawet po środzie popielcowej...

Powracając chronologicznie do Bawarii, dodam, że mimo wszystko napięcie podczas karnawału rosło, szczególnie od połowy lutego, po walentynkach z rytualnym pożeraniem czekoladowych serduszek. Sporadycznie przeradzając się w kolejną manifestację durniów i tłuściochów, karnawał z lubością zmierzał ku ostatniemu stadium. Telewizja transmitowała z Aachen wielkie zbiegowisko oddających się karnawałowemu szaleństwu błaznów: elita narodowa Niemiec i Francji zjechała się tu po raz kolejny, by prześcigać się w wygłupach. Sam geniusz polityki międzynarodowej, minister spraw zagranicznych maestro Genscher, w błazeńsko-monarszej koronie na głowie (coś w rodzaju Patriarchy Bu-Ba-Bu), wygłaszał parodystyczne tyrady na granicy przyzwoitości, a doktorzy filozofii i laureaci Nobla, przebrani za pastuchów i kominiarzy, zrywali boki słuchając zgryw Genschera.

Czy nie dlatego w naszej historii popełniono tak wiele niesamowitych głupstw, że dla własnych durniów i tłuściochów nie przewidzieliśmy choćby jednego karnawałowego placu, umieściliśmy ich natomiast w salach posiedzeń plenarnych? Nie daliśmy sami sobie odpowiedniego czasu i przestrzeni dla wygłupów, więc zmuszeni jesteśmy robić to zawsze i wszędzie. Bo karnawał to także neutralizowanie głupoty przez jej wychwalanie. My zaś zneutralizowaliśmy coś odwrotnego, niestety.

Coś z Wielkiego Karnawału, zdaje się jeszcze nam pozostało: w szopce bożonarodzeniowej, w noworocznej zabawie – Małance. Ale nie jestem etnografem ani etnologiem, nie będę więc kategoriyczny. Wiem jedynie, że wskutek jakiegoś fatalnego zbiegu okoliczności rzecz wciąż polega na jednym i tym samym: wyczuciu formy albo jego braku. Durniów i tłuściochów można wyśmiewać na placach. Można też wybierać ich do parlamentu. Kwestia gustu.

Apogeum karnawału nastąpiło w zapustny poniedziałek – *Rosenmontag*, pierwszego marca. Jak rozhulali się Niemcy! Zapełnili całkowicie place i uliczki śródmieścia. I tylko i wyłącznie dudlili, żarli, bekali, mlaskali, wykrzykiwali, wrzeszczeli, gardłowali, wypróżniali się, wygłupiali się, tupali, skakali, klaskali, gulgotali, szwargotali, mlócili, piekli, smarowali, grali, śpiewali, kochali się, całowali się, upajali się. Takich Niemców jeszcze nie widziałem i nie wiedziałem, że tacy bywają. Nie Niemcy, a szaleńcy! Zboczeńcy jacyś, a nie Bawarczycy! Pozostawili po sobie góry śmieci i pustych butelek, zarzucili wszystko co się tylko dało serpentynami i prezerwatywami, a także skrzydłami, ogonami i majtkami. Zgromadzili wszystkie naraz pokusy i psikusy.

Już we środę miasto wyglądało po staremu – czyste, wręcz wylizane powierzchnie, farba z włosów zmyta, głowy posypane popiołem. Tej ostatniej rzeczy oczywiście nie było, przesadziłem tu odrobinę. Karnawał ostatecznie wygrał wielką bitwę z Postem, w związku z czym nawet środa popielcowa – dzień kontemplacji, głębokiego smutku i zadumy – jest traktowana przez dzisiejszą hedonistyczną Europę wyłącznie jako oka-

zja do skosztowania rybnych delikatesów z białym winem.

To bolesne i słodkie święto zwane Życiem pozostaje największą wartością nawet w dniach smutku i ascetyzmu.

Można by w tym jednak dopatrzeć się kolejnego symptomu apokalipsy. I jest to bliskie prawdy.

6

Prawie wszystko, co tu opisałem jest moim wymysłem. Coś ujrzałem, ale nie tak, czegoś innego wcale nie widziałem, jeszcze coś innego dodałem od siebie. Niczego nie narzucam i nie uogólniam.

Usprawiedliwia mnie tylko jedno. Nie zabrałbym się do pisania, gdyby nie to, że Saszko Irwanec pewnego razu sprezentował mi ogromną mapę zjednoczonych Niemiec w skali 1: 750 000, z zielonymi dolinami i brązowymi pasmami górskimi. Ta mapa na długo (na zawsze?) pozostała dla mnie jednym z najbardziej poetyckich dzieł sztuki.

O czym nie napisałem, choć mógłbym? I o czym nie zdołałbym napisać?

O stopniowym zanurzaniu się w języku, w tym Heideggerowskim „domie bytu”; najpierw wyławiasz zeń jedynie sygnały poszczególnych słów, które jednak w żaden sposób nie chcą się ułożyć w coś bardziej sensownego od samych siebie; ale mimo to robi się ich coraz więcej i oto już wynurzają się całe wyspy jasności z ciemnych odmętów żywiołu, by w końcu pewnego cudownego wieczoru, pod koniec trzeciego miesiąca mojej wędrówki przyszło olśnienie: „Aha, okazuje się, że już rozumiem.

Rozumiem wszystko, co mówią tu i teraz, w tymże pociągu podmiejskim. Po prostu słyszę i rozumiem...” (Beznogi nauczył się chodzić. Pozbawionemu uszu wyrosły uszy.)

O innym domie bytu, to znaczy o świątyniach, o kościele św. Kajetana (ach ci bawarscy święci – są wspaniali w swej lokalności!) – białym i barokowym wewnątrz, do którego przychodziłem po dziesięć minut równowagi i spokoju, najczęściej jednak byłem jeszcze bardziej oszołomiony nadmiarem sztukaterii i ozdób...

O baroku nawet nie wspomniałem, podobnie jak i o klasztorze Andechs, w którym mnisi-benedyktyni warzą piwo i przyrządzają dziwne nalewki według dwunastowiecznych tajemnych recept zielarskich, o baroku, znowu o baroku – o kościele św. Mikołaja i Elżbiety, o ojczulku, który właśnie prowadził lekcję religii, ale była to raczej lekcja historii sztuki: łagodny jak gołąbek, kierował spojrzenia ku górze – na wybujały ornament Zimmermanna; w sąsiedniej kaplicy spoczywał pod marmurową płytą Carl Orff, autor *Carmina Burana*, tej łajdackiej mszy, tych lamentów i żalów średniowiecznych pijaków i zbrodniaków, ułożonych przez niego do ostrej i przenikliwej muzyki po ośmiuset latach pokrywania się kurzem na dnie klasztornej skryptorium.

O jeszcze innym baroku, o katedrze św. Stefana w Passau i o rytualnym śpiewie z tańcami i bębnami na placu przed kościołem – krisznaici też najwyraźniej gotowali się do święta Zmartwychwstania Pańskiego, które miało nastąpić jutro, 19 kwietnia...

I o innym tańcu – tańcu lalek-mauresek na wieży nowego ratusza w Monachium, wykonywanym codzien-

nie o jedenastej specjalnie dla Japończyków z kamerami wideo, nad ludnym placem św. Marii, czy krócej – Marienplatz...

O Marienplatz napisałbym osobno, jak też o czarnoskórym mimie, który z artyzmem i giętkością równikowego księcia wyduszał z tłumu wszystko, co się dało, i stopniowo wciągał do swojego niewidocznego jarmarcznego teatru kwalifikowaną większość zabłąkanych na placu gapiów...

O Indianach Keczua, o ich wędrownej muzyce, jak też o Włochach, Grekach, Chorwatach i Turkach, wspomnianych jedynie pobieżnie, o ich potrawach i napojach, o wpływie geografii, biologii i miesięcznego cyklu (w astronomicznym sensie) na lokalizację restauracji i tawern, o zadziwiających słowach, które nie poddają się analizie i oznaczają różowe, białe i czerwone wina wszystkich czasów i wszystkich narodów...

O miastach, po których pozostały mi jedynie plany, schematy i umowne oznaczenia, dzięki którym stosunkowo łatwo zorientować się w trasach, choć trasa jako taka nie jest już przewidziana, w związku z tym cieszę się samymi nazwami: Rawenna...

O zaułkach muzeów, o całym złocie tego świata, w nich zgromadzonym, o dziwacznych ekspozycjach: lalek, automatów do gry, nocników, pośmiertnych masek, figur woskowych, powozów, karet i jarmarcznych wesołych miasteczek, z czego wysnuć można nieskończoną ilość wniosków o człowieku i cywilizacji, jednak moja pamięć nie nadążała ich rejestrować...

O całej tej nieskończonej doskonałej dbałości tego, co duchowe o to, co materialne, o stałym mecenacie nie-

zliczonych teatrów, bibliotek i galerii, o tej kulturze, tym wspaniałym balaście, o znakach wysłanych niegdyś dla nas ze ścian i sklepień pałaców i świątyń, których nie nadążamy nawet obejrzeć, nie mówiąc już o tym, by je zrozumieć...

O Augustie, cesarzu rzymskim i o Marcynie Lutrze, który ukrywał się gdzieś w jego mieście przed inkwizycją, albo o Byronie, który zatrzymał się właśnie w tym domu, z okien którego widać grób Dantego...

O grafitti, o pomalowanych wagonach i murach, o czaszkach i kościach, i napisie na starych weneckich kamieniach: „Czemu ten AIDS zasrany?”

O wielu innych zagrożeniach, które nawisły nad tymi miastami, o niezliczonych kryzysach i depresjach, jakie się nam nawet nie śniły...

Rzecz bowiem w tym, że jesteśmy na swój sposób szczęśliwi. To trzeba nam przyznać – jesteśmy szczęśliwi, dlatego, że nic nie wiemy o świecie. Dopiero przygotowujemy się do przejścia przez Alpy.

I jeśli walka dwu systemów rzeczywiście się skończyła, a mit o Europie nie jest kolejną sztuczką naszych ukochanych ideologów...

Ale nie uprzedzajmy faktów. Geografię należy zaczynać od abecadła. Dla nas się jeszcze nie zaczęła.

przełożyła Ola Hnatiuk

Ave, „Chrysler”!

Wyjaśnienie oczywistości

*Osobom z wyraźnymi oznakami debilizmu
wstęp na zabawę wzbroniony*

Napis na zaproszeniu

I

Mija już dziewiąty rok od czasu, kiedy Irwanec raz na zawsze uświadomił sobie, że żadne z moich oczu nie jest szklane. Stało się to w Irpiniu, w zimie, wokół leżał wysoki śnieg, było to jedyne w moim życiu (i jedno z niezliczonych w życiu Irwańca) seminarium dla młodych twórców. Staliśmy w mroku pośrodku jakiejś alejki, a Saszko plótł najróżniejsze bzdury o swoim trudnym dzieciństwie, w którym nie było jakoby nic bardziej świetlanego oprócz obozów pionierskich i masturbacji. Cienie poetów przeszłości i kagebistów przyszłości bezszelestnie przepływały obok nas, przysłuchując się każdemu Saszkowemu chlipnięciu...

Mija już dziesiąty rok od czasu, kiedy „górnicy” poeta Wiktor Neborak przysłał mi do wojska swój pierwszy list, napisany niezupełnie poprawnym językiem ukraińskim. List, jak i wszystko inne u Neboraka, był uniżenie zuchwały, to jest uprzejmie niegrzeczny. Jego autor zwracał się do mnie per „pan”, ale już w pierwszym zdaniu podkreślał własne znaczenie: „Dzień dobry, Juriu! Pisze do pana Wiktor Neborak – we własnej osobie...”

Owo „we własnej osobie” uczyniło mnie, wówczas sierżanta sowieckiej armii, niemalże szczęśliwym...

Mija już wieczność od czasu, kiedy zesliśmy się we trzech i wypowiedziane zostało fatalne i sakralne, uniwersalne i karnawałowe

Bu-Ba-Bu...

Czegóż chcieliśmy? Co próbowaliśmy osiągnąć tym niepisany porozumieniem trzech? Coraz trudniej o odpowiedź. Niektóre akcenty i niuanse zostały już po prostu zapomniane, dawno już zrzuciliśmy dwudziestopięcioletnią skórę, w której paradowaliśmy po wszystkich skrzyżowaniach Lwowa – pewni siebie i nie znani nikomu, za wyjątkiem pewnego kręgu najbliższych przyjaciół, który, co prawda, już wtedy liczył z pół setki wszelakich monstrów.

Mimo wszystko – czego chcieliśmy?

Wydaje się, że początkowo była to nie tyle estetyka, ile sposób na przetrwanie. Albo estetyka jako sposób na przetrwanie. Lub na odwrót. Innymi słowy – próba pozostania maksymalnie wolnym w sytuacji ogólnego zniewolenia. Trzymać się razem, czuć łokieć jak bicie serca.

Ale cóż to za banalna gadka? Jaki tam łokieć! Po prostu lubiliśmy czytać sobie nawzajem wiersze. I nie tylko sobie nawzajem – wystarczyło, abyśmy z Irwańcem na dzień-dwa wpadli do Lwowa (czy raczej „do miasteczka Paryża”), a już za nami trzema wyrastał długaśny ogon złożony z co najmniej piętnastu typów, wśród których przeważali ludzie dowcipni i wielkoduszni (spośród nich na zawsze zapamiętam Niemców z pochodzenia – Kaufmana i Kocha). Ale trafiało się też

różnego rodzaju natrętne bydło. Nie o nim jednak mowa.

Mansardy i piwnice należały do nas. I pracownie były nasze. I samwydaw*, i Antonycz, i Kałyneć, których zresztą właśnie wtedy dostrzegłem razem – stało się to 7 lipca 1987 roku, kiedy obchodzono pięćdziesiątą rocznicę śmierci Antonycza. Przyszłych biografów odsyłam do wiersza Neboraka *Cmentarz Janowski*, zamieszczonego w tomiku *Latająca głowa*.

Oprócz tego nasze było wino i piwo, koniak i kawa i niektóre inne rzeczy, od których szumi w głowie.

Do nas należał czas. Sprzyjał nam. Jeszcze nigdy żaden z poetów nie miał tak sprzyjającego czasu. Zewnętrznej wolności było coraz więcej, my zaś odkrywaliśmy w sobie coraz większe pokłady wolności wewnętrznej. W roku osiemdziesiątym piątym Irwaneć nie mógłby jeszcze bezkarnie pokazać swojego gołego tyłka ze sceny Opery Lwowskiej – nawet by go tam nie wpuścili! Ale w dziewięćdziesiątym zrobił to z łatwością i wywołał nawet burzę oklasków.

Demokratyzował się język poezji ukraińskiej, męźniało jej słownictwo. Pojawiały się pierwsze „piersi”, za nimi widniały już „dupy” i „kurwy”. Tuż-tuż miał wynurzyć się pierwszy „kutas”, a dalej już po prostu – „ruska wiązanka”. Teraz, kiedy tego dobra pełno na każdym kroku, czasami poczuwamy się do winy. Ale cóż, apostołowie zawsze przekręcą coś w słowach nauczyciela.

* Termin ukraiński będący odpowiednikiem rosyjskiego „samizdatu” (tu i dalej, jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza).

Wolność dostała się im prawie za darmo – jest to zapewne coś w rodzaju zatrucia tlenem.

Mowa jednak nie o nich, a o tym, co nas mimo wszystko zbliżyło. Wcale nie ostatnim czynnikiem było tu miasto. Zarówno konkretny Lwów, jak i miasto jako takie, jak również Miasto jako abstrakcja. Miasto samo w sobie. W końcu wszyscy jesteśmy, za przeproszeniem, – poetami-urbanistami. Co prawda u Irwańca znalazłoby się coś o jakiejś chacie w jakiejś wsi. Ale było to już tak dawno, że stało się nieprawdą.

I tu natrafiamy na pierwszą poważną przeszkodę. Na każdą abstrakcję – własna obstrukcja. Szczególnie w naszym, rozdartym agresją, pospółstwie, gdzie każdy wywalczył sobie święte prawo – nie kochaj bliźniego.

2

„Literatura to Świątynia!” – wychrypiął do mnie raz pewnego jakiś rozgniewany pisarz.

Nie mam nic przeciwko świątyni. Chociaż równie dobrze można stwierdzić: „Literatura to Szpital! Literatura to Szkoła! Literatura to Fabryka! Literatura to Dworzec! Literatura to Statek! To Burdel! To Śmietnik! To Szalet!” Można o literaturze mówić cokolwiek. Ona to wytrzyma. I świątynia wytrzyma, i szalet.

Ale jak świątynia to świątynia. Tylko jeżeli już świątynia – to z żywymi ludźmi, a nie ze świętymi krowami.

Świętych krów mamy więcej niż Hindusi. To zboczenie w kierunku postumentu, bryły, skamieliny, zbrzozi zbonzowienia, smętnie zwisających wąsów i zmarszczonych krzaczastych brwi, jawi mi się jako coś w rodzaju

dziecinnej religii narodowej. Można z niej tylko wyrosnąć. Ale można też nie wyrosnąć. Zakrzepnąć w niej, pogрузić się w marazmie. I zacząć głosić kolejną grafo-mańską wersję stworzenia świata: od duchowej republiki do duchowej zaściankowości włącznie. Wersję być może sympatyczną – jeśli jest to wersja pięcioletniego dziecka, a nie przerośniętego pięćdziesięciolatka.

Największym grzechem, niezatartym piętnem na skórze Bu-Ba-Bu, pozostanie na zawsze nasza próba roztopienia tej bryły – bryły przasnej, niedouczzonej powagi, przykrywającej wszystko, co ukraińskie. Próba weryfikacji wyżej wspomnianych krów jako przedmiotów świętości. Zrodziło to mnóstwo konfliktów, ale też mnóstwo porozumień, które w zestawieniu z konfliktami bezspornie przeważają.

3

Mniej więcej od osiemdziesiątego siódmego roku, kiedy to Neborak znalazł się w Kijowie i zobaczył tam po raz pierwszy oryginał chryslera imperiala*, a potem pokazał go mnie, stwierdziliśmy zgodnie, że ten samochód został stworzony specjalnie dla nas.

Opatuleni w czarne kuloodporne płaszcze, w kapeluszach nasuniętych na ciemne okulary, podjeżdżaliśmy naszym ukochanym chryslerem pod siedziby wszelakich literackich stowarzyszeń. Wysiadaliśmy z chryslera, głośno trzaskając jego – nie, nie drzwiczkami – drzwiami! – i,

* Autor zastrzega sobie prawo do pisania tej nazwy w cudzysłowie i bez, dużą literą i małą – tak, jak jemu, autorowi, zechce się (przyp. autora).

ściskając pod kuloodpornymi połami niezawodne przenośne schmeissery, wchodziliśmy do środka, wspinaliśmy się po schodach, wpadaliśmy do gabinetów. Zabijaliśmy redaktorów, sekretarzy, cenzorów, korektorów. Gwałciliśmy maszynistki, sprzątaczkę, bufetowe, pokojówki. Rabowaliśmy sejfy ojczystej literatury. Nie było dla nas żadnej świętości. Nawet popiersie Lenina wyniesiono po raz pierwszy z auli związku pisarzy pod lufami naszych szybkostrzelnych automatów. Na naszych wieczorach zmuszaliśmy publiczność do zażywania narkotyków i grupowego seksu. Z tego też powodu publiczności wciąż przybywało. Wywróciliśmy do góry nogami odwieczną piramidę wartości moralnych. Zostaliśmy zwerbowani przez Moskwę, Nowy Jork, Sambuł, Warszawę i Tel Aviv, chociaż tak naprawdę pracowaliśmy dla Arabii Saudyjskiej. Za nami krok w krok chodził tłum rekietorów, cinkciarzy, sutenerów i nimfomanek śpiewając nam „hosanna”. Na wydanych przez nas książkach pojawiały się jakieś zakazane symbole oraz specjalny czarny nadruk „Ich razyskiwajet milicija”^{*}.

A dziś? Dzisiaj społeczeństwo zbiera żniwo tej burzliwej ośmioletniej działalności. Krzywa przestępczości bezustannie rośnie. Poziom życia ludności nieustannie spada. Wyhodowane na poezji bubabistów dwunastoletnie zarażone HIV-em lolitki rodzą mutantów i wampirów. Niezidentyfikowani sataniści wykopują o północy na cmentarzach ciała poległych sekretarzy partyjnych. Synowie powstali przeciwko ojcom, brat ruszył na brata, a matki sprzedają swe córki do muzeum anatomii.

^{*} „Poszukiwani przez milicję” (ros.).

Wygląda na to, że zostało osiągnięte samo dno potworności.

A wszystko to dlatego, że niegdyś Neborak pozwolił sobie napisać lekkomyślnie „wbijasza w nią dzidę tulipaną”. A jeszcze wcześniej Irwanec napisał o tym, jak to obejmuje w krzakach pewną znajomą sanitariuszkę i jak to on kocha „mokrą pod nią ojczyznę swoją”. Andrucho-wycz co gorsza – przełożył Samijła Nemyrycza, a jeszcze wcześniej powiedział głośno „kakadu”!..

Biada tej ziemi, która wydaje na świat takich ponurych drabów, biada!

4

Hej, opamiętaj się, kochasiu, cóż to za bzdury wygadujesz, za moment powstrzymacie mnie. I o kim to, o bubabistach, o tych sympatycznych młodzieńcach, którzy nawet po ludzku urznąć się nie potrafią? Oni z automatami? Oni rabowali sejfy? Cóż to za dzikie fantazje!

A ja, prawdę powiedziawszy, zmieniłem tylko formę. Albowiem jeśli idzie o treść wszelkich inwektyw pod naszym adresem, oddałem ją wiernie: gangsterzy.

Tak się jakoś składa, że znacznie łatwiej jest ocenić pewne zjawisko wyszukując dla niego znaną już szufladkę, niż tworząc nową. A tutaj już sama nazwa przypomina coś nieprzyzwoitego, sprośnego, chuligańskiego wręcz – Bu-Ba-Bu. O właśnie tak – Baby by! I już mamy szufladkę. Aby ją określić, nawet nie trzeba wczytywać się w ich poezję, ani też bywać na ich wieczorach: epatowanie, futurizm, żółte muszki, „poszczoczina obszczest-

wiennomu wkusu”*, spalenie Rafaela, dupa blada i tak dalej.

Oświadczam więc z całą odpowiedzialnością: nic takiego nie leżało w naszych zamiarach! Epatowanie burżuazji? Pokażcie mi najpierw tę burżuazję, gdzie ona jest i kto ona zacz. Może to proletariat? (Powiadają, że pewna dozorczyńni naprawdę płakała nad moimi wierszami – była to, co prawda, lwowska dozorczyńni.) Lud pracujący? Przywódcy związku pisarzy? Partyjniacy, patrycjusze oraz kej-dzi-bi? Kogóż to mielibyśmy epatować? Społeczeństwo jako takie? Ale które społeczeństwo – czy czasem nie to, w którym dziewięćdziesiąt procent nie czyta w ogóle, a z tych, którzy mimo wszystko czytają, dziewięćdziesiąt procent nie czyta po ukraińsku, a z tych, którzy mimo wszystko czytają po ukraińsku, dziewięćdziesiąt procent nie czyta poezji? Na próbę epatowania takiego społeczeństwa odważyłby się chyba tylko szaleniec. Poezja ma zresztą w sobie coś z szaleństwa, to prawda.

Ale nasze szaleństwo przejawiało się w czymś innym. Albowiem my wzięliśmy się za zagospodarowanie niektórych pustych miejsc w tej rozdartej na strzępy i rozrzedzonej przestrzeni, która zwie się kulturą ukraińską. Pozwoliłem sobie chyba wyrazić się zbyt dobitnie i z nadmierną pewnością siebie. Bo raczej było akurat odwrotnie – to nie my tworzyliśmy coś w tej kulturze, a ona tworzyła nas. To znaczy ukierunkowywała i mamiła – swoimi niezamieszkanymi zaułkami, niezaludnionymi marginesami, zadawnionymi tabu, które tak chciałoby się naruszyć;

* „Policzek społecznym gustom” (ros.) – aluzja do programu rosyjskich futurystów, zamieszczonego w 1912 roku w almanachu pod tym samym tytułem.

swoją cnotliwością, która przystoi każdej młodziutkiej pannie w przededniu ślubnego rozkwitu, ale nie pasuje do niej w dojrzałym wieku, w przededniu starości i usychania. Zabraliśmy się więc do przybliżania tego ślubnego rozkwitu...

Ale i to niezupełnie tak. Bo w ogóle specjalnie się nie umawialiśmy. Nie opracowywaliśmy programów i manifestów, nie podpisywaliśmy żadnych komunikatów ani memorandumów. Po prostu wymyślaliśmy wiersze i czytaliśmy je – najpierw sobie nawzajem (i w życiu nie miałem tak genialnych słuchaczy jak tych dwóch!), potem w szerszym kręgu „świadków Bu-Ba-Bu”, naszych adeptów i sympatyków, wreszcie – publiczności, która przychodziła na urządzane przez nas wieczory, liczba których zresztą sięgnęła gdzieś tak trzydziestu (chciałoby się powiedzieć: trzystu trzydziestu). Właściwie to od pewnego czasu publiczność, która przychodziła na nasze wieczory, zaczęła się utożsamiać ze wspomnianym kręgiem, czy też raczej diabelskim plemieniem „sympatyków i adeptów”. Zналиśmy, przynajmniej z widzenia, wszystkich, którzy do nas przychodzili, nawet jeśli widzieliśmy ich po raz pierwszy, ale był to osobliwy gatunek ludzki. Jakieś niemalże rodzinne spotkania, coraz bardziej intymne i ciepłe: jacyś artyści, aktorzy, studenci, żony poetów, wiceministrowie, dzieci filologów, intelektualisci z diaspory, kompozytorzy i bardowie zarazem, działacze opozycji, deputowani do rad wszystkich szczebli i tak dalej. (Zainteresowanych szczegółami odsyłam do *Restauracji* Neboraka, w której podany jest uśredniony rejestr imienny najważniejszych spośród naszych gości.) Aha, z sali koniecznie musiał się wynurzyć kolejny grafoman, który

rwał się na scenę w jednym tylko celu – zepsuć całą zabawę tak nam, jak i publiczności. Niszczyliśmy go naszą chłodną uprzejmością...

I tak oto, całkiem swobodnie i niemal niepostrzeżenie, przechodzimy od jednego zagadnienia do innego, nie mniej zasadniczego: od „dlaczego?” do „dla kogo?”

5

Dla kogo piszę? – problem, który do dzisiaj pozostaje tradycyjnie dręczący i prześladowuje każdego prawdziwego ukraińskiego poetę powracając niczym natrętny refren. W naszym przypadku waga tego problemu wzrosła co najmniej trzykrotnie. Dla kogo jest Bu-Ba-Bu?

Pozwolę sobie tutaj na nieco obszerniejszy cytat.

„To, co pisał Goncourt o Francji sto lat temu, można dosłownie powtórzyć o naszym życiu kulturalnym również dzisiaj. W czasach, które mam na myśli, stosunek ogółu naszego społeczeństwa do sztuki był całkowicie negatywny. W muzyce mieliśmy zaledwie jednego poważnego przedstawiciela – Ludkewycza; malarstwo reprezentował chyba tylko Trusz, a poezja, która wtedy mogła szczyścić się nawet dość okazałą ilością kapłanów, znajdowała się na wygnaniu, naszym patriotom bowiem wystarczało kilka skrzydlatych fraz z Szewczenki, o których przypominali sobie podczas wszelakich imprez rocznicowych i którymi reklamowali własną wartość kulturalną i patriotyzm, wysoko wówczas notowany na obywatelskiej giełdzie. (...)

[Ale] grono młodych buntowników przypuściło agresywny atak, celem którego było zdobycie czytelników. Poszliśmy za radą Goncourt'a, zaczęliśmy obnosić się z naszym „towarem” wśród Bogu ducha winnych patriotów, którzy nie rozumieli po co ludzie tworzą literaturę, i dziwili się, że wśród nas znajdują się rozrzutni osobnicy, którzy marnują pieniądze na wydawanie zwykłej makulatury. Wszak nasza „elita” nie знаła nawet nazwisk naszych pisarzy, nawet Iwan Franko interesował ją jedynie jako działacz społeczny, krytyk uświęconego ładu społecznego!

Nigdy nie zapomnę pewnej sceny, charakterystycznej dla naszej ówczesnej inteligencji. Po sali *Narodnego Domu*, gdzie odbywała się tradycyjna akademія ku czci Szewczenki, której ukrytym celem jak zwykle było stworzenie naszej „elicie” możliwości wystawienia na pokaz swojej garderoby i swych kastowych przywilejów, kręcił się student z kilkoma książkami. Dobrze się, biedaczek, napocił przebijając się przez szczelnie zapełnione rzędy siedzeń, aż dotarł wreszcie do jednej z „najgrubszych ryb”, adwokata, posła do parlamentu i okadzonego bojownika frontu kulturalnego.

– Proszę kupić, panie pośle, *Semper tiro* Franki! – przemówił, pewien swego sukcesu.

– Nie czytam poezji! – odpalił patriota.

– To może utwory Kociubyńskiego...

– On też pisze wiersze?

– Nie, panie pośle, to największy mistrz współczesnej prozy.

– Hm... Co jeszcze pan ma?

– Opowiadania Jackowa.

– A ten jak pisze: wierszem czy prozą?

– Oczywiście, że prozą.

I tak długo trwał wykład z literatury współczesnej, dopóki mecenas nie stracił cierpliwości i nie przegonił natrętnego kolportera słowami: „Idź pan do diabła! Ja na głupoty nie mam ani czasu, ani pieniędzy”.

(...) Być może my, pisarze *Młodej Muzy**, niechby nawet tylko instynktownie, czuliśmy, że Europa pędzi naprzód, podczas gdy my, mieszkańcy Galicji, skamienieliśmy na granitowych podstawach tradycyjnej twórczości obyczajowej, stylu „bogoojczyźnianego”, prymitywizmu i sentymentalizmu. Już nie zachwycały nas strywalizowane przez codzienne używanie kanoniczne skrzydlate frazy: „Tylko praca wyrwie nas z niewoli” (przy jednoczesnym nieróbstwie wszystkich) i „uczcie się, bracia moi, myślcie, czytajcie!” (przy całkowitym analfabetyzmie i odporności wszystkich na jakąkolwiek głębszą myśl). Chcieliśmy naprawdę pracować, uczyć się i myśleć, i tego samego wymagaliśmy od ogółu.

Dostrzegaliśmy, że ogół nie przetrwał nawet Szewczenki i Franki, uparcie przeżuując li tylko poetycką publicystykę pierwszego i patos *Kamieniarzy* drugiego; chcieliśmy nauczyć wszystkich czytania prawdziwej poezji**, a nie twórczości zideologizowanej i brzmiącej fałszywą manierą od Kwitki aż do Bordulaka włącznie; poezji wolnej od szablonowych pejzaży z barwinkiem i wierzwą w tle. Dostrzegaliśmy, że tworzona przez rzemieślników szablonowa literatura wytrąciła ogółowi

* Lwowska grupa pisarzy i poetów ukraińskiego modernizmu początku XX w.

** Wszystkie podkreślenia pochodzą od autora.

książkę z rąk, że z domów naszej inteligencji wygnano sztukę. I szukaliśmy nowej formy, nowego sposobu wypowiedzi, usiłowaliśmy odnaleźć subtelniejsze środki wyrazu artystycznego zarówno w formie, jak i w treści. Jedni z nas zapatrzeni byli w bliski zachód, w „Młodą Polskę”, inni spojrzeniem sięgali znacznie dalej. I dlatego krytyka, a wraz z nią i ogół nazywał nas „ptakami obcego chowu” i podejrzewał nas o narodowy indyferentyzm. I jedni, i drudzy nie dostrzegali, że, abstrahując od Łepkiego, który uparcie łaskotał podniebienia patriotów tradycyjną kutią i wielkanocnymi kołaczami, usypiając ich rozmarzone dusze patriotycznym patosem, my wszyscy po same uszy tkwiliśmy w tym naszym świecie, tylko silniej od innych odczuwaliśmy naszą chorobę i ubolewaliśmy z tego powodu. I byliśmy rozdrażnieni. Każdy z nas był na swój sposób satyrykiem.

Cóż więc dziwnego w tym, że z tęsknotą kierowaliśmy swój wzrok na zachód i że niejeden z nas, niczym tonący, wyciągał ręce do poezji „Młodej Polski”, odnowionej i oczyszczonej z fałszywego patriotycznego romantyzmu?

(...) To jeszcze bardziej odpychało od nas ogół, chory na przerost zaściankowego patriotyzmu, i w którym jeszcze do tej pory pokutował duch Konyskiego i Tania-czkewycza, duch kultu „świętych”, wyszywanych koszul i fałszywego patosu, który pielęgnował w społeczności patriotyzm „na przypiecku”, zacofanie w stosunku do kulturalnego świata i spekulację na patriotycznym bazarze. My – w przeciwieństwie do większości – czuliśmy, że naszemu narodowi przyjdzie niebawem zdać egzamin dojrzałości narodowej i że egzamin ten oblejemy...

Czuliśmy to i bezradnie rzucaliśmy się w sieciach tradycji, zabobonu, zaściankowości i prymitywizmu. I już samo to wystarczało, by zaniepokoić nasz nieruchawy ogół, a ogół reagował na to tak, jak potrafił.

Czy dzisiaj zmieniło się u nas na lepsze? Może...”

Pytanie trafia w dziesiątkę. Czy dzisiaj zmieniło się u nas na lepsze? Przyznam szczerze, że z trudem uniknąłem pokusy, aby z początku wprowadzić was w błąd, współczesniając jedynie słownictwo i składnię, zamieniając czas przeszły na teraźniejszy, Iwana Frankę tymczasowo zastępując (he, he) Iwanem Draczem, pisarzy *Młodej Muzy* – pisarzami lat osiemdziesiątych, Kociubyńskiego – no, choćby Wiaczesławem Medwedem, a Łepkiego, powiedzmy... Chociaż nie. Jakakolwiek analogia kuleje, i od razu przejrzelibyście mnie. A przecież jeszcze raz, w ślad za Petrem Karmańskim, autorem przytoczonego fragmentu wspomnień *Ukraińska bohema*, zapytam: czy dzisiaj zmieniło się u nas na lepsze?

Sądząc po wypełnionych po brzegi salach podczas naszych wieczorów autorskich – tak. Sądząc po tym, jak momentalnie rozchodzą się nasze książki – tak. Sądząc po tym, że wyszliśmy poza ramy ściśle literackiego tworzywa i trafiliśmy nawet do kroniki skandali (przypadek pobicia Irwańca) – tak.

Ale kiedy widzę te ponure typy ze smętnie zwisającymi wąsami, bez cienia humoru na gębach, patriotycznie zaniepokojonych i zasępionych, podejrzliwych i spoconych, którym na każdym kroku jawi się jeśli nie zdrada narodowa, to duchowa trucizna, jak nie pornografia, to pedofilia, jak nie burzenie ideałów, to zamach na święto-

ści, którzy to raz zaczyna mi się wydawać: nic nie zmieniło się u nas na lepsze, panie Karmański...

A może wszystkiemu winien ten cyrylicki alfabet? I ten wschodni obrządek? I to – uparte grafomańskie – przekonanie, że poezja musi być koniecznie dla kogoś?

„Na kogo się orientujesz, kiedy piszesz?” – zapytał Neborak kiedyś Petra Midiankę. „Na Boga” – tamten odpowiedział. A przecież mógł odpowiedzieć również z intonacją pytającą. Bo u nich na Zakarpaciu owo „na Boga” oznacza „po co?”, no, po naszemu to będzie „po cholere?” Na kogo się orientujesz, kiedy piszesz? A po co? Ciągłe znaki zapytania...

6

Nasza podróż na oślep przekroczyła już, jak się zdaje, półmetek, a o „chryslerze imperialu”, tak po ludzku, nic jeszcze nie opowiedziałem. Teraz więc, według mnie, najwyższy na to czas.

Projekt ten rozwijał się w czasie i przestrzeni przez całe pięć lat (dwadzieścia pięć wieków, chciałoby się powiedzieć). Jak już wspominałem, latem osiemdziesiątego siódmego roku oszołomiony Neborak pokazał mi bramę, za którą spoczywał w swej królewskiej wielkości uwięziony samochód. Kiedy Neborak zaczynał opowiadać o „chryslerze”, wzruszenie odbierało mu mowę. Starał się opisywać go za pomocą gestów i okrzyków, rysował jego kształty na piasku, tańczył wokół zamkniętego na głucho garażu, niczym tunguski szaman wokół odłamków meteorytu.

Garaż otworzył specjalnie dla nas jego (i garażu, i „chryslera”) właściciel, zresztą poeta – ale to, że był on poetą w naszym przypadku (jak i w ogóle dla literatury) nie miało żadnego znaczenia. Najważniejsze, że był on zięciem zmarłego sowieckiego generała, jedynym spadkobiercą legendarnego czerwonego komdywa (komandarma?)*, zawładnąwszy po jego śmierci nie tylko córką, mieszkaniem, szablą i papachą, ale też „chryslerem imperialem”, tym czołgiem, tym budynkiem na kołach, tym objazdowym wesołym miasteczkiem, tym wiecznym silnikiem (perpetuum mobile, jak powiedziałby Neborak), tym brontozaurem autostrad, tą świątynią Wielkiego Amerykańskiego Marzenia!...

(„Chrysler” został подарowany generałowi przez rząd republikańskiej Hiszpanii w podziękę za udział w zdobyciu fortecy Alcazar w 1936 roku. Bardziej szczegółowo mówi o tym odpowiedni wiersz B.I. Antonycza – patrz rozdział trzeci *Księgi Lwa*).

Niestety, nie jeździł. Poeta, jego właściciel, przysięgał nam, że jeszcze postawi go na koła, że pewnego razu triumfalnie wedrze się nim w szary tłum banalnych i pożałowania godnych środków transportu, że dziewczyny z Chreszczatyka będzie nim woził tonami, a napoje spirytusowe – baryłkami... Ale cóż za szczęście, że jak na razie tak się nie stało! Bo przecież nam (a właściwie Neborakowi) chodziło o coś całkiem innego.

Ten „chrysler” musiał przejść w inną jakość. To miała być księga. Mógł to być film. Albo taniec, albo rock’n’roll, albo tort, albo spektakl. Neborak chciał pisać

* Stopnie wojskowe w Armii Czerwonej oznaczające odpowiednio: dowódca dywizji, dowódca armii.

o nim wiersze. Irwaneć układał o nim epos. Ja przez długi czas pozostawałem wobec niego obojętny – był to dystans konieczny, aby nie spłonąć przedwcześnie w jego boskim baku. Aż wreszcie wypuściłem go w *Rekreacjach*. Demoniczny Popiel, zły geniusz diaspory, przywiózł nim do Czortopola Hrycia Sztunderę i Jurka Nemyrycza. Później w jego bagażniku spał zalany w trupa Bielinkiewicz. Później, wyzwolony od ziemskich pęt, latał nad czortopolskim karnawaliskiem...

I w ten sposób dożyliśmy jesieni roku dziewięćdziesiątego drugiego, mając za sobą spory kawał tego nieznośnego świata. Co chwila zmienialiśmy maski i miejsce pobytu: Kijów, Lwów, Moskwa, Gdańsk, Edmonton, Wenecja, Koktebel, Świnoujście, München, Warszawa, Dolny Berezów, Lemberg, Toronto, Cherson, Stanisławów, Danzig, Innsbruck, Monachium, Łuczesk, Zapyryże – wszystko zmieniało się z szaloną prędkością, migotało i rozsypywało się na kawałki, na poszczególne błyskotki, w międzyczasie zdążyliśmy uczcić PP – Pierwszą Pięćdziesiątkę – i trzydziestolecie kolejno każdego z nas, założyć akademię, wybrać do niej pięciu akademików, przyznać im nagrody i regalia, wydać kilka książek, napisać mnóstwo wersów... I wszystko – jak się okazało – po to, aby jesienią dziewięćdziesiątego drugiego roku w Operze Lwowskiej nastąpiła eksplozja, wybuch, erupcja, aby odbyła się piękna katastrofa, której obawiano się i spodziewano, ta wielka błyskotliwa plajta – ta poezjoopera z samochodową sakralną nazwą.

Przez cztery wieczory (czterdzieści cztery wieczory chciałoby się powiedzieć) rozentuzjasmowany tłum wypełniał Lwowską Operę. Chcieli go widzieć, mieć, macać, lizać. Z erotyczną niecierpliwością oczekiwali na jego przybycie. Lada moment miał się zjawić on – „Chrysler Imperial”, samochód-opera, samochód spełnionych marzeń.

Kuriozalność momentu polegała na tym, że nic nie odpowiadało niczemu. Rozpalona żądzą publiczność w dziewięciu dziesiątych składała się z tych, którzy ani razu w operze nie byli, więcej – żadnej opery nie słyszeli, a o mezzosopranie mieli pojęcie nie większe niż o moderato cantabile. Innego rodzaju profani przebywali na scenie i w kanale: chór, balet, orkiestra. Ci z kolei nie znali twórczości Bu-Ba-Bu i podczas rockowych odjazdów z obrzydzeniem zatykali koniuszkami palców uszy. Natomiast aktorzy dramatyczni stanowili przykład jeszcze innego rodzaju jołopów: zleciawszy się do światła szmalu, obiecane za darmo, byli do tego stopnia zamroczeni, że plątali się w najprostszych nawet kwestiach, za plecami reżysera nazywając tekst (w większości mój!) francowatym. W tym przedstawieniu można było ich wykorzystać w najlepszym wypadku jako meble. Prócz tego któryś z nich regularnie upijał się i tracił orientację w ciemnościach zakulisowych labiryntów i zwałach dekoracji.

Serhij Proskurnia jako główny fechtmajster próbował zebrać to jakoś do kupy, ale nie za bardzo mu się to udawało. Co prawda podnoszenie i opuszczanie dekoracji obyło się bez poważnych ofiar po stronie wykonawców

– chyba tylko podczas trzeciego przedstawienia jakiemś rosyjskojęzycznemu pijaczkowi, który przypadkowo przybłąkał się z ulicy i znalazł się czemuś aż na scenie, zmiażdżyło nogę. Jednak mechanicy spisali się bez zarzutu, w porę zatrzymując maszynę, i kulawy odtąd imigrant ze skamlaniem porzucił pomieszczenia świątyni sztuki...

Nikt – ani wykonawcy, ani publiczność – nie rozumiał, co się dzieje i czym to wszystko się zakończy. Ale wszyscy cieszyli się, bo zawsze było się z czego pośmiać: jak nie ze Sztefcia Orobca z uszami carrollowskiego Królika, to ze skloszardziałego Wiktora Morozowa z jego głębokim, dobytym z wnętrza: „Dżulbars się powiesił!”, jak nie z latającej głowy Neboraka, to z Irwańcowego wyolbrzymionego członka (autor – Marian Sawyćkyj). I w tym przejawiała się natura bubabizmu – jego adepci bawią się, zanurzeni po uszy w niewytłumaczalnej radości istnienia...

I tylko my trzej – Prokurator, Podskarbi i Patriarcha – wiedzieliśmy co się odbywa i czym się zakończy. Kontrolowaliśmy tę sytuację jeszcze przed jej powstaniem. Przecież na scenie i w sali, w łóżach i na balkonach materializowały się nasze wiersze i nasi bohaterowie. Przy tym materializowały się w najniewinniejszy sposób – nawet o tym nie wiedząc. Tak jak płynie rzeka, sama o tym nie wiedząc. I kiedy tam, pod niebiosami, na najwyższym balkonie, pod samym sklepieniem, chór dzieciaczków w niebiesko-żółtych pionierskich chustach anielskimi głosami zaśpiewał a capella „Malujcie babę gołą-bą”, o mało się nie rozplakałem, a właściwie chyba jednak zapłakałem, bo to śpiewała nasza ucieleśniona wspaniała przyszłość...

Abyście mogli lepiej zrozumieć, o co chodziło w przedstawieniu, zacytuję tu w całości libretto, napisane przez Irwańca pewnej bezsennej nocy w przededniu premiery:

Młodą piękność Amalteę Harazdec podczas balu wydanego na cześć jej pełnoletności wykrada zły czarnoksiężnik. Stary książę Popiel, przybrany ojciec młodej pięknej kobiety wzywa bohaterów całego Suazilandu, aby wyruszyli na poszukiwanie jego pasierbicy. Zgłasza się tylko trzech śmiałków-bubabistów – Waligóra, Wyrwidąb i Waligrucha. Od pierwszych kroków ich podróży stara się im przeszkodzić zła czarownica Klitemnestra. Pomaga jej w tym Uszaty Troll! Ale kiedy trzech śmiałków już ostatecznie zaplątuje się w sieci podstępnej czarownicy, z pomocą przychodzą im niespodziewanie Samiło Nemyrycz oraz Andrij Del Campo – dwaj zaczarowani książęta-bliźniacy, których podstępna czarownica zamieniła w parę osłów. Wyzwoliwszy trzech bohaterów, wracają do poprzedniej postaci, po czym wraz ze śmiałkami wyruszają na poszukiwania pięknej dziewczyny.

Lecz dalsze ich drogi również są pełne przygód i niebezpieczeństw. Zgraja furii-sanitariuszek pod dowództwem Dziewczyny z Plackami zaczarowuje ich swoim chimerycznym i magicznym śpiewem. Bohaterowie zasypiają i tylko przypadkowe pojawienie się Latającej Głowy ratuje ich od całkowitej zguby. Ta sama Latająca Głowa prowadzi ich naprzód, ku nowym osiągnięciom i zwycięstwom.

W końcu w jaskini czarnoksiężnika odbywa się decydująca bitwa, w której przeciwko bohaterom stają Pawło Macapura-kat, Jurko Nemyrycz, pan Bazio, Marta Martoflakowa oraz inne wcielenia zła i ciemności. Po krwawej jatce piękną Amalteę udaje się uwolnić z zaczarowanej ciemnicy. Ogólny triumf. Rozbrzmiewa Pieśń Słowian Wschodnich i bohaterowie triumfalnie powracają do domu. Happy end.

Zamiast happy endu czterech rzeźmieszków z „Komu wnyz”^{*} wywoziło na scenę wcielenie „Chryslera” – kupę żalostnego złomu z dwoma potężnymi reflektorami, które stwarzały wrażenie niezidentyfikowanego obiektu latającego. I wszystko to wybuchalo.

To była całkowita klapa. Publiczność biła brawo na stojąco. Oburzone wszechogarniającym bluźnierstwem typy ze smętnie zwisającymi wąsami opuszczały z gniewem salę – pisać druzgocące recenzje, nieco przypominające donosy.

Jako ostatni na scenie pojawiał się Proskurnia. Jego oklaskiwano najdłużej. Był to całkowity sukces.

Przypominam sobie jak po ostatnim, niedzielnym przedstawieniu postanowiono nie zmywać charakterystyki i wyjść głównymi drzwiami na plac, a następnie wtopiwszy się na chwilę w wybudowały karnawałowy tłum, wspiąć się na sam wierzchołek Muzycznej Wieży – tymczasowej budowli, wzniesionej na trzydniowe rockowisko.

Proskurnię chwycił za rękaw banalny omonowiec^{**} i powiedział swoje „niezlia”. Proskurnia wyrwał się i powiedział mu coś innego. „Dobra, bierzemy go” – powiedział banalny omonowiec do drugiego, nie mniej banalnego omonowca i zaczęli wykręcać Proskurni ręce.

Przed pięcioma minutami cała Lwowska Opera stojąc oklaskiwała go. Wśród obecnych byli: przewodniczący administracji państwowej, mer miasta, ambasador Austrii

* „Komu wnyz” – nazwa grupy rockowej.

** Omonowiec – funkcjonariusz oddziałów OMON (ros. – Oddziały Milicji Specjalnego Przeznaczenia), używanych m.in. do pacyfikacji demonstracji ulicznych

na Ukrainie oraz inne oficjalne osobistości. Oni też bili brawo na stojąco. To było przed pięcioma minutami. A teraz dwaj banalni omonowcy wykręcali mu ręce, by zapakować go do suki.

„Co wy robicie? – zaprotestowałem. – To główny reżyser festiwalu! On powinien być teraz tam, na górze!” – „Zabieramy go! Po cholere nam wasz festiwal. To chuligan!” – „Trochę się zdenerwował, puście go” – uciekłem się do bardziej dyplomatycznego tonu. Być może podziałała na nich moja patriarsza korona, a może płaszcz z gronostajem. A może – wszystko razem: i korona, i płaszcz, i berło, i ton. Proskurnię puścili. Do dzisiaj jestem za to głęboko wdzięczny naszemu państwu policyjnemu.

8

I oto nagle wszyscy zrozumieli, że to już koniec.

Coś się skończyło, coś się wyczerpało. Poezjoopera postawiła kropkę. Makieta „Chryslera” eksplodowała na scenie. Może publiczność oklaskiwała nie nas, a ten wybuch?

Pierwszy odczuł coś takiego Irwanec. On w ogóle ma kobiecą wrażliwość (jak każdy prawdziwy poeta). „Wiesz, to będzie taki taniec na naszych szczątkach” – oznajmił mi, jak tylko przyjechałem do Lwowa na próby.

„Bu-Ba-Bu umarło!” – wesoło obwieścił mój ulubiony wiolonczelista Jurko Izdryk po pierwszym przedstawieniu.

„Czy nie uważacie, że to może i piękna, ale jednak śmierć Bu-Ba-Bu?” – wypytywał Neboraka młody dziennikarz z dyktafonem i z patosem.

Rozmowy o naszej śmierci – dokonanej już, czy też jeszcze nie, ale już bliskiej – toczyły się coraz częściej. Przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie usłyszałem, że jakoby zastrzelił się Muslim Magomajew. Oczywiście jego strzał był niezupełnie celny.

I oto podczas naszego karnawału, w samym jego szczycie, zapachniało niespodziewanym trupem. Niespodzianym, ale, jak się wydaje, dla wielu bardzo pożądanym. Bo, zapominając nawet o swoim powołaniu kuchennym, z literackich kuchni wypadły wesolutkim galopem sfory kuchcików, roznosząc po redakcjach skrzydlaty radosny nekrolog: „Wieniec na mogiłę Bu-Ba-Bu”. Jak należy to rozumieć: umarł król, niech żyje kuchta? A czy nie za duży to honor?

Genialny Petro Staruch rzeczywiście postawił nam pomnik na scenie. Głowa Neboraka naprawdę oddzielała się od ciała. Nagi gipsowy Irwanec rzeczywiście zawisał nad salą członkiem do góry. I była czarna msza, i zakrwawieni rzeźnicy, i hrabia Del Campo (jeżeli akurat był trzeźwy) cedził swoje fatalne „Przegrał pan!” Wszystko to było i nikt nie śmie temu zaprzeczać, a jeśliby śmiał, to ja pierwszy rzucę w niego berłem.

Ale czyż może umrzeć to, co nie ma początku ani końca? Czyż może umrzeć Bu-Ba-Bu, ta Trójjednia i Trójodmienność, i Sześciorekość, a zatem i Sześcioskrzydłość? Albo spytam inaczej: czy może umrzeć dusza z jej krwią i rechotem, poezja, przekleństwa, wino, muzyka, bałahan*, miłość, zuchwalstwo, bufonada, rytu-

* Bałahan w języku ukraińskim oznacza teatr jarmarczny, w tekście słowo to jest aluzją do nazwy Bu-Ba-Bu, będącą skrótem od: Burleska-Bałahan-Bufonada.

ał, magia, teatr, jeszcze raz bufonada, śmiech, płacz, luz, smak, jazz, rock, jazz-rock? Czy te rzeczy mogą umrzeć? Nikt nie odważy się tak twierdzić, a jeśli się odważy, to ja pierwszy rzucę w niego Irwańcowym gipsowym członkiem.

9

Lecz mimo wszystko coś rzeczywiście się skończyło. Rzeka zaczęła zmieniać swe koryto. Nie dlatego, że któregoś dnia przestałem pisać wiersze – to nieistotne. Być może pewnego dnia zacznę to robić znowu. Ale stało się coś innego, coś znacznie bardziej istotnego.

Przeminęła młodość, jak się zdaje. Pilnie śledziliśmy jej przemijanie, wypijaliśmy ją po kropli, niczym najdroższy napój świata. No cóż, udało nam się nie najgorzej. Zostanie po nas morze pustych butelek pod stołem na sądzie.

Rodzi się natomiast typowo europejskie pytanie: co dalej? Co jest tam, za ostatnim przystankiem „chryslera”, dokąd zabroniony jest wjazd limuzynami młodości? I co zostanie po Bu-Ba-Bu, jeżeli odebrać mu limuzyny? Nie wiem. Jesteśmy przecież do tego stopnia proteuszowi, że nie sposób przewidzieć wszystkich naszych dalszych mutacji.

A co odbywa się teraz? Irwaneć zapalił się obecnie do dramatu. Jego sztuki powinny być wystawiane już teraz – w przeciwnym razie wieczność nie wybaczy nikomu ich krótkotrwałości. Na razie on sam odczytuje je w przejściach podziemnych i sklepach monopolowych.

Neborak niedwuznacznie przechodzi w kierunku rocka. Ma to być nowy gatunek – neborock. Powiadają, że

jego idee muzyczne siłą wyrazu dorównują poetyckim. Zresztą on z równą łatwością mógłby wyklądać coś z ukrainistyki gdzieś w Kanadzie, Argentynie czy Rodezji.

A ja chciałbym wynająć pokoić w niewielkiej willi. Ażeby rano i wieczorem przechadzać się po okolicy z włączonym walkmanem w kieszeni na piersi. Chciałbym mieć ogromną kolekcję muzyczną, jak również kolekcję win oraz przepisów kulinarnych. I wciąż podróżować do miast, które mi się śnią. Chciałbym leniuchować i nie zajmować się niczym. Oprócz pisania dobrej prozy, rzecz jasna. Albo układania jakichś antologii poezji czy muzyki.

Cokolwiek by się zdarzyło – ale tak czy inaczej będzie to Bu-Ba-Bu. I nawet jeśli urządzimy wystawę naszego malarstwa czy sprzedaż nieruchomości, będzie to Bu-Ba-Bu. I nawet jeśli któryś z nas pojedzie do Afryki, aby handlować niewolnikami i kością słoniową, to będzie to Bu-Ba-Bu. I nawet jeśli dla chleba sprzeda siebie agencji reklamowej, to będzie to Bu-Ba-Bu, najlepsze dla mężczyzny...

Jesteśmy na to skazani. I nigdzie od tego nie uciekniemy.

10

Oglądając się wstecz, widzę na szczycie samotnego wzgórza dostojną, monumentalną sylwetkę „chryslera imperiala”. Zatrzymał się na wieki.

Ave, „Chrysler”! Idąc w dal pozdrawiam cię. Byłeś wspaniałym pojazdem.

Dla ciebie więc – nasze szczególne podziękowanie.

Łotrostwa szlachetnego Samuela z Niemirowa

Samijło (Samuel) Niemirydz, ten niesłusznie zapomniany i przedwcześnie zgasły potomek narodowego łotrowskiego rodu, przyciąga dziś uwagę najsamprzód niepowtarzalnym stylem popełnianych przez niego zbrodni. Stylistyka ta zasadza się na absolutnej swobodzie. Dlatego nawet o najstraszliwszych jego rozbojach i grabieżach śmiało rzec można, iż dokonane zostały z niezwykłym wyczuciem estetycznym. Pozostawiają one wrażenie niczym nieskrępowanej i wręcz natchnionej twórczości.

Żywot tego podolskiego szlachcica, który najświetniejszą część swoich ziemskich dni strawił we Lwowie drugiej dekady XVII wieku, dotychczas właściwie nie był opisany przez naszych – swego czasu rozstrzelanych – historyografów. To zaś, na co natrafiamy u Władysława Łozińskiego w *Prawem i lewem* (w ukraińskim przekładzie brzmiałoby to *Szablą i gramotą*), zostało przedstawione nazbyt tendencyjnie, z wyraźnym polskim zacięciem: Niemirydz autorowi niemiły jest już choćby dlatego, że nie-katolik i nie-Polak. Do tego jeszcze pochodzi z tych samych Niemirydzów, z których przyszedł pułkownik Wojska Nizowego Zaporoskiego, Niemirydz Jurko, nieustraszony bohater kampanii z 1648-1649 r., poeta, filozof i heretyk. (Niemirydze w ogóle jakoś chętnie przechodzili na arianizm, co, nawiasem mówiąc, dotyczy również

innych prastarych rodów ukraińskich – Potockich, Wiśniewieckich czy Tatomirów.)

Jeśli zaś chodzi o wiersz, napisany jakoby o Samuele Niemiryczu i w jego imieniu opublikowany w książce *Egzotyczne ptaki i rośliny* Jurija Andruchowycza, to trzeba przyznać, że autor nie zadał sobie najmniejszego nawet trudu zgłębienia przeszłości bohatera i wykreowania jakiejś niejednoznacznej, acz pouczającej postaci historycznej. Istota wiersza sprowadza się właściwie do jednego nadmiernie wyeksponowanego epizodu, dodajmy, epizodu wyrwanego z kontekstu biografii naszego bohatera i przesadnie wyolbrzymionego, tzw. „incydentu z plackami”, który w istocie miał miejsce w jego życiu, ale w istocie był zupełnie przypadkowy i niecharakterystyczny dlań. Andruchowycz dopuścił się ponadto kilku poważnych nieścisłości: kobieta, która sprzedawała na rynku owe niesławnej pamięci placki i którą faktycznie w miejscu publicznym, na stojąco, zgwałcił nasz bohater, wciągawszy ją uprzednio w podwórze domu Campianich i przyparłszy twarzą do kamiennej balustrady schodów, równocześnie stawiając opór czeladzi starego Campianiego w liczbie dwunastu, wspomaganych przez kilku osiłków z magistratu, tak więc kobieta owa, jak powiadają, do końca swoich dni dziękowała Bogu za tak przyjemną dlań niespodziankę, co dała jej okazję choć raz w życiu zaznać prawdziwego mężczyzny, otóż w wierszu owa kobieta występuje jako „dziewczę”, „dziewczyna”. Najwyraźniej po to jedynie, by rzucić cień amoralności i rozpasania na bohaterski i nader szlachetny uczynek Samuela Niemirycza. Użycie przez Andruchowycza w jego wierszu tak niewłaściwych słów, jak „schizol”, „debil”

zdradza całkowite i dogłębne nieobeznanie autora z realiami językowymi owej wspaniałej epoki.

Uważamy za konieczne wyjawienie przed potomnością całej prawdy o tej mało znanej, a jakże wybitnej postaci, usuwając tym samym kolejną „białą plamę” w bezbrzeżnym oceanie historii naszego narodu i jego walki narodo-wo-wyzwoleńczej.

Samuel Niemirydz osiedlił się na Krakowskim Przedmieściu we Lwowie w 1610 r. Nieznaną pozostaje jego data urodzenia, bez wątpienia jednak w owym czasie (tj. przybycia do Lwowa) miał lat nieco ponad dwadzieścia. Fechtuje i znakomicie jeździ konno, ubiera się ze smakiem, nabywa zbytkowne tkaniny i sukna wyłącznie u kupców weneckich i genueńskich, gustuje w jerezie, maładze, dobrej muzyce i maderze. Jego dom w krótkim czasie zamienia się w przytułek dla dziwacznych osobników – wygnańców z różnych zakątków Starego Świata; są to przeważnie znani infamisi i zboczeńcy, błazny, mordercy, filozofowie, okultyści, osławieni alchemicy, sodomici, protestanci, czciciele ognia, lilipuci i grabieżcy. Wolny czas upływa im na biesiadach, pieśniach i dysputach religijnych. Prawie co dzień Niemirydz w otoczeniu swej kompanii udaje się na wyprawę po najznakomitszych miejskich winiarniach, gdzie używa sobie, ile dusza zapagnie: strzela z muszkietu do butelek i klepsydr, przybija gwoźdźmi do szynkwasu brody bywalców, łamie im ręce, nogi, nosy, wytrząsa złote monety z nazbyt wypchanych kieszeni, pokazuje goły tyłek, tłucze okna i lustra, wreszcie topi rajcę z magistratu, Szczepiórskiego, w kadzi, w której warzono właśnie kawę, a sędziogo Gołąbka – w ustępie, podbija oczy nadmiernie zuch-

wałym, łamie im żebra, oddaje mocz do ich piwa, zmusza do spożycia własnego łajna, głośno przy tym śpiewając i tańcząc.

Dzisiejszy czytelnik z pewnym zdziwieniem, a nawet i potępieniem może odnieść się do takich przejawów witalności i zdrowej energii duchowej, stąd też warto rzec tu słów kilka o ówczesnych obyczajach. Otóż w myśl obowiązującej wówczas Konstytucji z 1577 r. zabójstwa czy jakiegokolwiek użycia siły nie uważano za coś zbyt osobliwego czy też łamanie prawa. Ówcześni prawnicy do rozpatrywanych przez siebie występków podchodzili raczej filozoficznie, aniżeli z punktu widzenia prawa, z dużą dozą humoru, ironii oraz przejawiając chrześcijańskie miłosierdzie wobec łamiących prawo. Wyroki więzienia były z reguły niezwykle krótkie i raczej umowne. I tak za zabójstwo uczynione na szlachcicu, a dokonane przez równego mu stanem szlachcica (a szlachta stanowiła podówczas dobre trzy czwarte całej ludności Rzeczypospolitej) należał się rok i trzy tygodnie odsiadki w zamkowej wieży oraz grzywna dwu tysięcy złotych wnoszona na rzecz skarbu; za takie same zabójstwo, ale z pojmaniem zabójcy *in ridenti* („na gorącym uczynku”) – podwajano karę do dwóch lat i sześciu tygodni więzy oraz czterech tysięcy złotych główszczyzny. (Z jakiegoś powodu złapanie „na gorącym uczynku” uznawano za czynnik obciążający, jakby chciano powiedzieć, nie wpadaj, durniu, zabijaj z rozmysłem, by nikt nie widział.) Poza tym żaden proces o zabójstwo i tak nie mógł się odbyć, jeśli rodzina poszkodowanego nie zdobyła się na przytaszczenie do sądu jego zwłok (była to szczególna procedura sądowa zwana „prezentacją trupa”). Stąd też podstawowo-

wym celem każdego dobrodzieja, który zamyślił jakieś zabójstwo, było ukrycie ciała zamordowanego we właściwym czasie i miejscu: wrzucenie z kamieniem u szyi na dno Połtwy, spalenie w piecu kuchennym, zakopanie głęboko w lesie, posiekanie na drobne kawałki. Tu godzi się przypomnieć, że w przypadku rzeczonoego sędziego Gołąbka, którego Niemirycz utopił w odchodach, na skutek czego ciała sędziego nie udało się odnaleźć, sprawę umorzono ze względu na brak znamion przestępstwa, to znaczy trupa sędziego.

Zabijano z łatwością, mordowano beztrosko – skrycie lub też *in ricenti*, na oczach społeczeństwa, bowiem jeśli by nawet proces się odbył i doszłoby do ogłoszenia wyroku, skazany niekoniecznie musiał potulnie odsiadywać karę więzy; najczęściej udawał się do domu albo szedł z przyjaciółmi na wino. Rzecz w tym, że choć podział na władzę sądowniczą i wykonawczą istniał, to władza wykonawcza niczego wykonać nie mogła, ponieważ zawsze cierpiała na katastroficzny brak wykonawców, to znaczy milicjantów, natomiast każdy podsądny przybywał w asyście uzbrojonych po zęby w szable, miecze, łańcuchy, pałki, kije, kastety, halabardy i pałasze kompanów, krewnych i sług. Tak więc tylko jakiś szalony fanatyk praworządności albo samobójca odważyłby się podjąć próbę doprowadzenia siłą skazanego do więzienia – próba taka niewątpliwie miałaby opłakane skutki dla prawa i dla jego stróżów.

Kiedy zatem w lipcu 1612 r. znajomkowie Niemirycza ujrzeni go w karczmie Makolągwy na Zamarstynowie w dobrym humorze, ze szklanicą jerezu w ręce i dorodną dziewczką tylko w tureckich pończochach u boku, to na ich pytanie, co też on tu robi, usłyszeli w odpowiedzi: „He,

he, wieżę odsiaduję, panowie! Starego Izakowicza-m zabił, trzy tygodnie i rok żem dostał. Ni ma rady, siedzieć mus!”

(Izakowicz – ochrzczony karaim, handlował podrabianymi lwowskimi kobiercami, które sprzedawał jako perskie, bo od perskich zaiste niczym się nie różniły. Pewnego razu Niemirydz z najbliższymi kompanami – zawadiakami Jackiem Borodawką, Heńkiem Szulermanem i portugalskim Murzynem Joelino pojмали syna Izakowicza, Zachariasza, w burdelu „Pod czterema cymbakami”, w którym młody karaim przepuszczał dorobek tatuśka, i siłą ściągnęli go z pracownicy burdelu Zuzanny Waligóry, po czym zawlekli do lasu w Winnikach, gdzie spętanego porzucili w jaskini, pozostawiając na warcie ślepego liliputa Ptaśka. Potem zaś zadzwonili do starego Izakowicza i zażądali odeń pięciu tysięcy złotych cekinów austriackich, grożąc, że w przeciwnym razie poćwiartują młodego Zacharkę na jedenaście równych części, a staremu przyślą głowę, żołądek oraz organ płciowy syna. Stary Izakowicz chwycił kufer z cekinami i ruszył spieszenie ku Czarnej Skale na umówione spotkanie z Niemirydzem i jego kompanami. Tymczasem młody Izakowicz zdołał oswobodzić się z więzów (nie raz widział ten numer w wykonaniu wędrownych kuglarzy, więc po prostu go powtórzył), oszołomił kamieniem czyli zabił śpiącego liliputa, po czym zaś ruszył pieszo przez las prosto na Halickie Przedmieście do burdelu „Pod czterema cymbakami”, gdyż jeszcze nie wyszumiał się należycie. Rozwścieczony jego ucieczką, Niemirydz wraz z kompanią podziurawił starego Izakowicza, na co stracił całe osiem magazynków. Na dodatek w kufrze znaleźli bynaj-

mniej nie cekiny, a zwykle talary, które stary najwidoczniej w ciemności i w pośpiechu pomylił z cekinami. Koniec tej historii znany jest już czytelnikowi – sąd grodzki i biesiada Niemiryca z kompanami w karczmie Makolągwy na Zamarstynowie.)

Między zabójstwem starego Karaima Izakowicza a ograbieniem wołoskiej misji dyplomatycznej z bojarzynem Georgicem na czele, która jesienią 1615 r. podążała do obozowiska króla szwedzkiego, wioząc niezwyklej wagi dokumenty dotyczące spadku transylwańskiego, Samuel Niemiryca oddał się nauce i sztukom wyzwolonym. W 1614 r. wydał w Dreźnie po łacinie wierszowany traktat *O leczeniu makiem i naturze konopii*, wielce ceniony przez współczesnych, ale niestety bezpowrotnie utracony. Muzykował, jeździł po podmiejskich okolicach Lwowa na wynalezionym przez siebie prototypie dzisiejszego roweru, niekiedy polował i pisywał polemiczne listy przeciwko unickiemu biskupowi Hipacemu Pocijowi.

Napaść na posłów wołoskich okazała się najgłośniejszą sprawą z udziałem Niemiryca, poza – rzecz jasna – znaną już nam historią z plackami i gwałtem na kobiecie, która zakończyła się dla Niemiryca więżą. W słynnym nieprzebytym Czarnym Lesie, który wówczas zaczynał się gdzieś koło Halicza i Tyśmienicy na wschodzie i ciągnął się z małymi przerwami do Monachium na zachodzie, Niemiryca wraz z kompanią urządzili zasadzkę na wołoską kawalkadę i przywitani ją gazem łzawiącym, czym sprawili, że bojarzyn wraz z pozostałymi posłami i ochroną pospadali z koni na ziemię, twarzami prosto w rozmiękłą jesienną drogę i zastygli w bezruchu. Po napełnieniu sakiew wołoskimi dukatami, topazami, ametystami

i tajnymi dokumentami, które spoczywały w orzechowej szkatułce, inkrustowanej masą perłową i kością słoniową opieczętowanej, zdarłszy z posłów futra i jedwabie, Niemirycz wraz z kompanami zniknął w gąszczu Czarnego Lasu. Portugalski Murzyn Joelino zabrał ze sobą nadto dziewięcioletniego poganiacza mułów, który niebawem zmarł z powodu nadmiernej eksploatacji. Tajne dokumenty dyplomacji wołoskiej Niemirycz chytrze zaproponował dworowi transylwańskiemu, żądając za nie dwudziestu tysięcy franków szwajcarskich, ale książę Rakoczy nie wykazał szczególnego entuzjazmu dla tej transakcji, wobec czego Niemirycz musiał przystać na marnych osiem i pół tysiąca.

Do owej chwili król i sejm Rzeczypospolitej już trzykrotnie ogłaszali Niemiryca infamisem (skazanym na utratę czci i praw obywatelskich) oraz dwukrotnie – banitą (pozbawionym jakichkolwiek praw i obrony ze strony państwa i społeczeństwa). To oznaczało, że ktokolwiek i kiedykolwiek mógł go zakatrupić, nie niosąc za to przed prawem żadnej odpowiedzialności, ba, nawet zasłużyłby sobie tym na podziękowanie Jego Królewskiej Mości. Jednakże chętnych na takie podziękowanie jakoś niespecjalnie było widać, więc Niemirycz zaś nadal przechadzał się zuchwale po rynku odziany w złocisty kontusz, w otoczeniu niedościgłych rzezimieszków – Szulermana, Joelino oraz Innocentego Sylwestra Kockiego, usuniętego z seminarium za onanizowanie się (Jacek Borodawka podówczas był już na Siczy, gdzie niebawem objął urząd hetmański, odbierając go Sahajdacznemu, jednakże pod Chociem zapłacił za to głową, gdyż jako hetman przywiódł

sławne Nizowe Wojsko Zaporoskie do całkowitego niemal upadku).

Na ostatnią z kolei banicję skazano Niemirycza za tzw. *sprawę zwierzyńca*. To historia o niezwykle barwnym przebiegu i egzotycznym wręcz posmaku. W 1616 r., w maju czy w czerwcu na Pohulance zatrzymało się wędrowne bestiarium niejakiego Michała Anioła Romano (pod tym nazwiskiem uchodził przed inkwizycją znany fałszerz monet i truciciel Gustaw Suppe, nawiasem mówiąc, pochodził z Turynгии): czternaście klatek z wszelaką zwierzyną z Indii, a mianowicie lwami, panterami, lemurami, nosorożcami i jednorożcami, żyrafami, antylopami, hippokampami, pławikonikami, pawianami, zebami, kolczatkami, wampirami, inkubami i in. Codziennie, a zwłaszcza już w niedzielę lwowski świątek schodził się na Pohulanę, gdzie można było za stosunkowo wysoką opłatą poprzyglądać się całej tej zadziwiającej faunie, od której co prawda nieco cuchnęło. Pewnej niedzieli Niemirycz wraz z kompanami wpadł niczym wichur do bestiarium, pootwierał wszystkie klatki i wypuścił wygłodzone zwierzęta na wolność. Zginął przy tym portugalski Murzyn Joelino, rozdeptany przez nosorożca, którego sam uwolnił i do którego, jako stary lowelas i zoofil nieobacznie zaczął się zalecać. Ledwo żywi ze strachu obywatele „najwierniejszego z miast koronnych, Leopoliu” w popłochu rzucili się do ucieczki. Wypuszczone zwierzęta zagryzły jednak kilkoro z nich, a po zaspokojeniu pierwszego głodu pomknęły w dół ulicą Lenina (obecnie Łyczakowska) do centrum i niebawem okupowały wyludniałe miasto – brykały po trawnikach, harcowały w fontannach oraz przyklastornych sadach

i tylko od czasu do czasu schrupały jakiegoś przypadkowego przechodnia. Właściciel zwierzyńca, Michał Anioł (vel Gustaw Suppe), z rozpaczy odchodził już od zmysłów. Wtenczas Niemirycz zażądał od niego tysiąca dukatów sycylijskich za powrót zwierząt do klatek.

Suppe z radością na to przystał i natychmiast wyciągnął trzysta dukatów zadatku. Następnego dnia rzeczywiście całe bestiarium wróciło do klatek. Niemirycz i jego kompania pousypiali wszystkie co do jednego potwory celnymi strzałami z łuku, wykorzystując w tym celu brazylijską truciznę kurarę, kupioną w przeddzień w aptece van der Vandena na Wałach Hetmańskich i przewieźli pogrążone we śnie zwierzęta na Pohulankę. To jedna wersja, ale istnieje także inna, wedle której zwierzęta same pokornie wróciły do klatek, poskromione przez Niemiryczą grą na flecie. Jakkolwiek by nie było, Suppe wypłacił resztę dukatów Niemiryczowi i tego samego dnia jeszcze wraz z całą karawaną pospiesznie wyjechał ze Lwowa. Dukaty okazały się wszystkie co do jednego fałszywe, więc w nocy 22 czerwca Niemirycz i jego chłopcy dogonili karawanę szachraja na Wielkim Morwowym Szlaku, gdzie ukatrupili wszystkich co do jednego, a zwierzęta wraz z klatkami spalili.

Wspomniany już aptekarz van der Vanden pozostawał w dość bliskich stosunkach z Niemiryczem, ponieważ produkował dla niego zioła narkotyzujące i prochy. Będąc głównym dostawcą opium dla dworu tureckiego padyszacha i kokainy dla bagdadzkiego kalifa, sprytny Holender doskonale znał się na różnych rodzajach odjazdów. Za jego namową Niemirycz zaczął dawać sobie w żyłę, kłut się przez kilka lat, wypędził wówczas z domu przyjaciół

i koleżanki. Wiódł smutny żywot samotnika; całymi dniami nie podnosił się z łóżka, wyraźnie schudł i jakby wysechł, ale w żyłę wkłuwał się bezbłędnie. Oglądał niekończące się kolorowe sny-misteria i czytywał najnowszą pracę saksońskiego teologa Abrahama von Aschenbacha *Boskie Jajko albo Narzędzie Grzesznych Tortur*, specjalnie zaprenumerowaną w Sorbonie. Notatki Niemiryca na marginesach tej książki, jego komentarze i podkreślenia świadczą o niezwykłym znanstwie przedmiotu i prawdopodobnym zamiarze napisania pracy polemicznej.

Jednakże prawdziwą przyczyną jego ogólnie rzecz biorąc melancoijnego stanu była miłość do trzynastoletniej Amalki, córki kata miejskiego Stefana Nieboraka. Po raz pierwszy ujrzał ją Niemiryca z za krat, gdy odbywał karę wieży za znany z wiersza Andruchowycza „incydent z plackami” (warto tu jednak wyrazić uznanie dla autora za mistrzowsko opisany stan skruchy i wyrzutów sumienia, które istotnie odczuwał wówczas Niemiryca). Dziewczynka przychodziła co dzień do katowni tatusia, znajdującej się nieopodal wieży i przynosiła mu gorącą strawę w gliniakach, owiniętych wełnianymi chustami. Pewnego razu po drodze przysiadła, żeby się wysuszyć w krzakach pod wieżą. Wtedy to właśnie ujrzał ją Niemiryca i od razu pokochał tak, jak jeszcze nie kochał nigdy i nikogo. Ściany jego ciemnicy całkowicie pokryte były imieniem Amalii, kawałkiem czerwonej cegły malował w nieskończoność serca, przebite strzałą, dziewczęce usta, części ciała itp.

Tragedia polegała na tym, że młodziotka panna Amalia orzuciła jego miłość. Po wyjściu z więzienia Niemiryca oświadczył się jej listownie, proponując jej zamęście. Do

listu załączył arcydzieło – akrosonet „Amalia Nieborak”. Jednakże dziewczę zdecydowanie i ostro odparło, że nigdy nawet nie pomyśli o wyjściu za mąż za takiego łotra i rozpustnika jak on, że przecie pochodzi z szacownej i porzundnej rodziny której godność w oczach całego Lwowa znacznie by upadła z powodu tak haniebnego mezaliansu, a do tego od dawna już wiernie miłuje ona swego narzeczonego, syna rzeźnika, Piotrusia, za jego kędzierzawe włosy i pogodny charakter oraz za to, że jak nikt inny potrafi nadziewać krwawą kaszą kiszkę. Następnego wieczoru Samuel Niemirycz odnalazł na Kulparkowie Piotrusia od rzeźnika i wypruł mu kiszki, ale nic to nie pomogło, do końca swoich dni Amalia chodziła w żałobie, dochowując wierności narzeczonemu i na jego cześć pozostała w panieństwie przez calutkie życie.

Pomału dochodząc do wniosku, że próżne są wszelkie jego starania i próby ulepszenia tego bezsensownego świata, Samuel Niemirycz coraz bardziej zamykał się w sobie i pogrążał w beczynności. Karząc bogaczy i stając się właścicielem ich majątków, dokonywał jedynie wtórnego podziału dóbr, ale nie wydobywało to nędzarzy z nędzy, a głodnych nie ratowało od głodu. Kobiety oddawały mu się często i z ochotą, lecz nie dla jego rozumu i serca, lecz dlatego, że zazwyczaj je zaspokajał. Jego naukowe i artystyczne prace ogólnie rzecz biorąc nie znajdowały zrozumienia u współczesnych, czasem palono je nawet z polecenia inkwizycji czy moskiewskiego cara. Jego błyskotliwe, artystyczne wręcz zbrodnie wywoływały jedynie kolejną falę potępienia, niezrozumienia, kolejną infamię czy banicję, kolejny wyrok sądu i karę więzienia, jednakowoż nigdy nie stały się przedmiotem uważnej

obserwacji etycznej oraz rozważań estetycznych, czego tak pragnął nieszczęsny Samuel. Musiał więc do końca wychylić kielich goryczy, będący przeznaczeniem wszystkich wielkich: nie pasował do swojego czasu, w którym umieściła go Opatrzność.

Nie tylko zresztą do czasu, ale i do miejsca. Miał bowiem nieszczęście być Ukraińcem i mieszkać na Ukrainie, pozbawionej własnej państwowości i jurysdykcji, własnej historii, wreszcie zaś i własnego świata przestępczego. W Ameryce mógł zostać prezydentem, w Rzymie – papieżem, w Anglii – Robin Hoodem, w Niemczech – Bismarckiem. A na Ukrainie mógł być jedynie łotrem i bandytą. Zaiste świętą prawdę mówi ówczesne polskie przysłowie: „Na Rusi choćbyś jezuitów posiał, to i tak złodzieje się urodzą!”

Samuel Niemiryycz wstąpił do klasztoru 18 października 1619 r. i pod imieniem brata Teodozego w zapomnieniu dożył końca swoich dni w celi Poczajowskiej Ławry. Po śmierci, która przyszła w styczniu 1632 r. od nieznanej nocnej choroby, ciało jego nie rozkładało się, a piątego dnia, zachowując naturalną gibkość i ciepłość, zaczęło pachnieć malwami. Nie został jednak kanonizowany, a to dla tej przyczyny, że nigdzie nie znaleziono świadectwa jego urodzenia. Z czasem przestano wierzyć nawet w sam fakt jego istnienia.

Poniżej publikujemy akrosonet Samuela Niemiryicza *Amalia Nieborak* – jedyny jego utwór, który zachował się do naszych czasów. Przekładu na współczesny język dokonał J. Andruchowycz.

Samuel Niemirycz

*Anioł czy bies to sprawił, że córka
Miejskiego kata serce mi zabrała.
Amora strzala już mnie pokonała.
Laleczko, ciesz się i tańcz mazurka.*

*Iść na wojnę na Lacha czy Turka
Ani chybi wolalbym, mała,
Niżli tęsknotę do twego ciała
I samotność. Smutno mi, kurka!*

*Ech, bodajbyś stała się maszkarą
Bezżebną, garbatą i tłustą,
Ozdobo śliczna katowskiego rodu!*

*Rad bym rzec ci: to co masz – jest szparą,
A ja chciałbym, by nie była pustą.
Korzystaj więc z chwili za młodu!*

przełożyła Ola Hnatiuk

Nota bibliograficzna

Erz-herz-perc – esej został wygłoszony podczas festiwalu „Świat Literacki” na forum literackim „Pytanie o jedność, pytanie o jedynść” (w dn. 12-14.05.1994), zorganizowanym przez Fundację na Rzecz Popularyzacji Literatury Światowej oraz Fundacji Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej. Esej ukazał się w polskim tłumaczeniu na łamach „Gazety Wyborczej” (4.06.1994).

Carpatologia cosmophilica – próba fikcyjnego krajoznawstwa. Tekst został wygłoszony podczas seminarium zorganizowanego przez Fundację Pogranicze „Bukowina po stronie dialogu” (Sejny, 23-26.04.1996).

Misto-korabel – tekst eseju Miasto-okręt był wygłoszony w listopadzie 1994 roku na pokładzie okrętu „World Renaissance” podczas międzynarodowego spotkania pisarzy Północy i Południa „Waves of The Black Sea”. Tłumaczenie tego tekstu ukazało się w „Literaturze na Świecie” (nr 10|1995).

Miłość i śmierć w rycerskim stylu: wyzwalenie panny – esej był wygłoszony podczas seminarium „Duchowość narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Eros i Thanatos”, zorganizowanego przez Fundację Muzyka Kresów; ukazał się na łamach „Suczasnosc” (nr 1|1994).

Wstęp do geografii – esej ukazał się po raz pierwszy na łamach pisma „Perewał” (nr 1 | 1993).

Ave, „Chrysler”! – tekst ten wydrukował miesięcznik „Suczasnist’ ” (nr 1 | 1994).

Łotrostwa szlachetnego Samuela z Niemirowa – po raz pierwszy tekst ten ukazał się w piśmie „Perewał” (nr 1 | 1991).

Spis treści

Erz-herz-perc	5
Carpatologia cosmophilica	19
Miasto-okręt	35
Miłość i śmierć w rycerskim stylu: wyzwalanie panny	45
Wstęp do geografii	61
Ave, „Chrysler”!	85
Łotrostwa szlachetnego Samuela z Niemirowa . .	111
<i>Nota bibliograficzna</i>	125

A6476

2/1/29

ISBN 83-86646-27-6